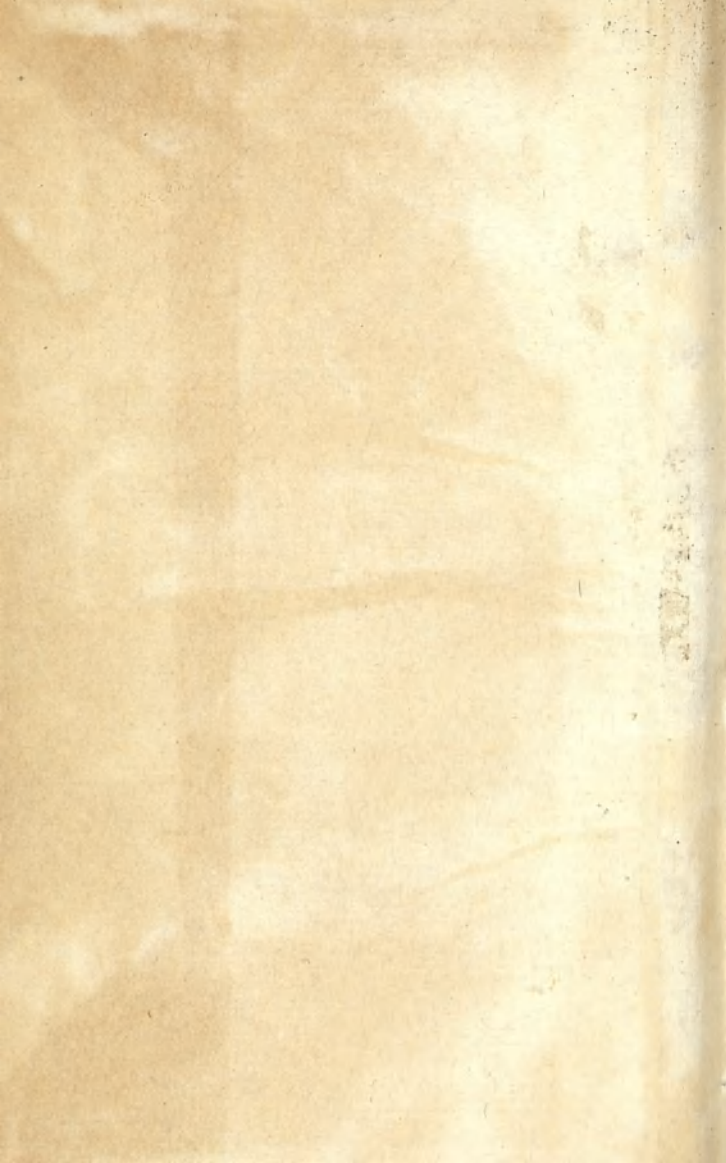






ODWIEDZINY BABUNI

CZYLI

POWIESCI

dla zabawny grzecznych dzieci

NAPISANE

przez

ANNE NAK.....

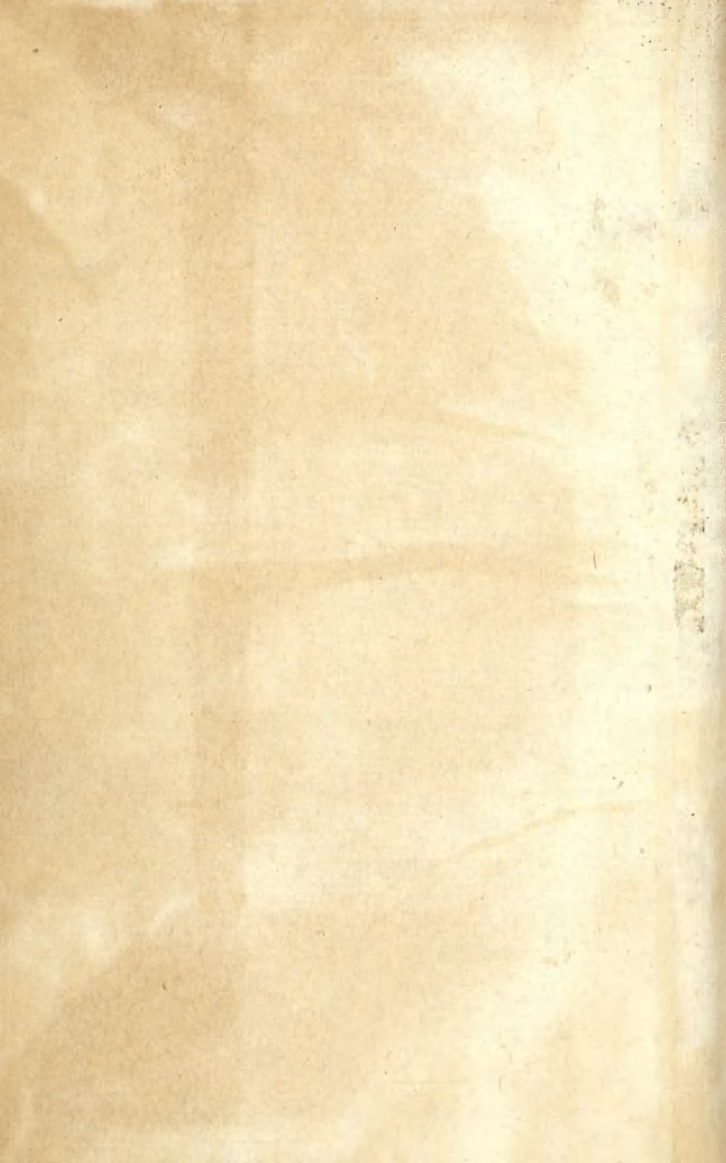


W WARSZAWIE.

W DRUKARNI A. GAŁĘZOWSKIEGO I KOMP.

PRZY ULICY ŻABIEJ POD NREM 472.

1833.



1421

Odwieziny Babuni

CZYLI

POWIEŚCI

dla zabawy grzecznych dzieci.

CHURCH OF THE HOLY TRINITY

TO THE HONORABLE

THE HOUSE OF COMMONS

ODWIEDZINY BABUNI

C Z Y L I

POWIEŚCI

dla zabawy grzecznych dzieci

N A P I S A N E

przez

A N N Ę N A K



W W A R S Z A W I E .

W D R U K A R N I A . G A Ł Ę Z O W S K I E G O I K O M P .

P R Z Y U L I C Y Ż A B I E J P O D N R E M 472 .

1833.

LP I 6

320164

I

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

k. 71/5002

3.4. 75r



WSTĘP DO POWIESCI.

Dobra Babunia, jest to skarb prawdziwy, dla was kochane moje dzieci! Zastępuje ona w staraniach około was Mamę, kiedy ją zatrudnienia, słabość, albo towarzyskie zabawy, od was się oddalać zmuszają. Daje ładne lalusię grzecznym dziewczynkom, koniki chłopczykom, podwieczorki, albo smaczne śniadania, i jednym i drugim, koledy na Nowy Rok, wiązania na imieniny, wszystko to macie, od dobrej Babuni; kiedyście bogobojne, grzeczne, i posłuszne. Babunia, czasem i od pokuty wyprosi, i od kary uwolni; bo Mama i Tata, mało co mają do odmówienia Babuni. Ale Babunia, jakkolwiek jest dobrą, nie podejmuje się ni-

gdy, prosić za wnukiem krnąbrnym, złośliwym, albo kłamliwym; bo dobra Babunia jest przed wszystkiem sprawiedliwą, nie wstawia się więc nigdy za takim dziecięciem, które przez ciągle złe sprawowanie, niegodném Jéj łaski się staje. Wszystkie więc dobre i grzeczne dzieci, po Matce, i Ojcu, kochają najtkliwiej Babunię i Dziadunia, kiedy im Bóg dozwoli dożyć lat tyle, żeby wnuki swoje pielęgnować mogli. Taką właśnie Babunią, była Pani Uszycka, przyjemna i miła, lubo w podeszłym już wieku; majątna, wesoła, a do małej swój rodziny niewymownie przywiązana. Mieszkała na wsi ta dobra Babunia; miała tam dom obszerny, ogród rozmaitemi fruktami i kwiatami napelniony, w pokojach pełno było dla dzieci zabawek, małych kanapek, krzesełek, i niskich stolików, na których dzieci różnemi zabawkami bawić się mogły; wózek zielono malo-

wany, dla najmłodszych dzieci, stał na ich rozkazy na dziedzińcu, obok konika, dobrze ujeżdżonego, dla najstarszego wnuka, lalki i różne do robienia im ubiorów kawalki, przygotowane były w ładnych koszyczkach, obok książek, tak przyjemną zabawę grzecznym dzieciom sprawujących, te leżały w ładnej oprawie, na stolikach starszych panienek. Słowem, dom, ogród, i całe zamieszkanie Pani Uszyckiej, zdawało się być jedynie dla przyjemności jej wnuczków urządzone. Pani Uszycka, wydała była swoją jedyną córkę, Łucyą, za Pana Złotomskiego, który miał urząd w mieście; tam mieszkając, dom znaczny utrzymywał; niepodobną więc było rzeczą, ażeby jego żona i dzieci często się od niego oddalały; cztery razy widywały tylko te dzieci swoją dobrą Babunię, a to w każdą porę odnawiającego się roku. Wiosną sprowadzała do Krajomina Panią Złotomską

(jest to nazwisko majątności Pani Uszyckiej) bo imieniny Babuni, przypadaly na wiosnę; najstarsza wnuczka Zosia toż samo imie co Babunia nosila, miała ona lat dziesięć, i przywoziła zawsze na wiązanie dla Babuni, jaką ładną, swoich własnych rąk robotę. Staś, najstarszy wnuk, rozmaite dowody zdatności i pracowitych usiłowań, przez pochlebne świadectwa nauczycieli szkolnych potwierdzone. Anielka i Karolcia, młodsze téj Pani wnuczki, dawały iéj chociaż podwiązek parę, swojej roboty, otoczonych wieńcem fiołków, które same ubierały, a maleńki Hipolitek, w zielonym woziku, na pęku kwiatów posadzony, wyciągał swe rączki i głaskał Babunię po twarzy, nie mogąc dotąd inaczej okazać jéj swego przywiązania.

W lecie, we żniwa, odwiedzała znowu Pani Złotomska Krajomin; biegały tam dzieci, po łanach, pracowitemi żniwia-

rzami okrytych, zbierały i znosiły snopki, sadzały Hipolitka uwieńczonego szafirowym bławatką, lub czerwonym maczkiem na kopach złocistej pszenicy, i rozdawały między robotników chłodzące napoje, a między ubogich, własne, przez siebie, na ten przedmiot ubierane grosze. Babunia, wszędzie była z niemi; rozповідаła im, jak się zboże sieje, wzrasta, zbiera, jak nieprzeliczone korzyści z tych małych kłosek spływają na mieszkańców naszej ziemi; jak obfitość rolnicza jest pierwszą obfitością na świecie! Jój albowiem jedynie, winniśmy zachowanie od zupełnej zagłady. Te zielone niwy, te nieprzejrzane okiem pola, wydając plon, lubo mniej obfity, zdołały odwrócić od nas ostatnią plagę, to jest głód którego od wieków nie doświadczamy.

Jesień najpożądańszą zawsze bywała porą, dla małej rodziny Złotomskich; Krajomin uwieńczony owocami różne-

go gatunku, okazywał im wtedy widok nader powabny, wspaniałe gruszkowe drzewa, słusznie królewnami nazwane, równające się wysokości leśnych sosen i dębów, naginały tam aż do ziemi gałęzie żółtym owocem okryte, czerwone jabłuszka, na niskich, karłowatych drzewkach, wabiły jasnym kolorem, i ułatwiały dzieciom sposobność zbierania ich, na zimowy zapas Babuni; słodka śliwka, brzoskwinia nadobna, i tak rzadko dojrzewające w naszej strefie winogrona, stroiły ogród urozmaicając zarazem, codzienny dziecienny podwieczorek; nader więc miło było dzieciom w Krajominie w jesieni; one tam co rok oddawały ostatnie ogrodowi i przechadzkom pożegnanie, askoro wieczór był chłodny, obsiadłszy kominek, przy krześle Babuni, grały w gry rozmaite, czytały naprzemian, tak lubie dzieciom ukształconym Rozrywki, powiadały bajeczki, których się staran-

nie, dla zabawy Babuni, przez czas poświęcony rekreacyi na pamięć uczyły; a za dobre, i z czuciem oddane wiér-
sze, odbierały pocałowanie Babuni;
albo co było wielkiém bardzo szczę-
ściem, brała na kolana swoje, to dzie-
cię, które przez cały dzień najgrze-
czniejsze było, i tłumaczyła mu ryciny,
z ksiązek obficie w jój szafach zgro-
madzonych.

Ale, spytacie mnie się dzieci kocha-
ne, czy także i w zimie wnuczki od-
wiedzały Babunię? czy nie bały się wia-
tru, śniegu i mrozu? Czy Pani Złotom-
ska, miała sposobność oddalenia się z
domu i w zimie? Nie, kochane dzieci!
Babunia nie wymagała tego, znała to
dobrze, że drobnym dziatkom, w zimie
podróżować trudno; ale nie mogła je-
dnak i w téj przykrój porze roku,
obejść się bez widzenia drogich dla jój
serca istot. Babunia więc zawsze przy-
bywała do miasta, na święta Bożego

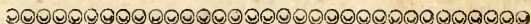
Narodzenia, i tam, przez dwa lub trzy miesiące mieszkała u swojej córki. Łatwo sobie wystawić możecie, ile się wtedy dobra Babunia przykładala do uprzyjemnienia życia ukochanych wnucząt! Kiedy Staś dowiedział się, o sprzedaży jakich książek dla jego wieku stosownych; kiedy Zosia odkryła jaką biedną rodzinę, którejby dopomódz chciała; nie udawali się do Mamy, ani Taty, ale, mając na to zezwolenie od nich, zaraz biegli do dobrej Babuni! a ta nie omieszkala nigdy zasilać ich woreczek, zbyt mały na znaczniejsze wydatki. Kiedy było dużo gości u Mamy, Babuni stół prościejszy, ale zdrowszy, gromadził dziatki wesole, a w dni takie, wolno było dzieciom, mówić, śmiać się, i żartować do woli, Babunia, wraz z niemi śmiała się i igrała wesolo. Tak upłynęło lat kilka; dzieci rosły i chowały się zdrowo: Zosia miała lat 13ście, Staś 12sty zaczął, Anielka i Karolcia

od 10ciu do 11stu liczyły, Hipolitek już także biegał o swojej własnej mocy. Przybyli wszyscy do Krajomina na wiosnę, w wigilią Stój Zefii; gości było dużo, obiad wielki, po obiedzie bawiono się wesoło w ogrodzie, który był jeszcze bez owoców i rozlicznych kwiatów, ale, już upiększony, kiściami bzu, i czeremchy; wieczór tańczyli goście po klawikorcie, jedli lody i ciasta; ale, lubo dzieci udział miały w tych zabawach, dzień ten cały nie był tak przyjemny naszym małym przyjaciółom, jak bywały poprzedzające imieniny Babuni. Zosia tylko jedna jako solenizantka, siedziała z gośćmi u stołu; rodzeństwo zaś jej, mały opodał obsiadło stoliczek, z Panią Zaufnicką, ich boną, która co chwila przestrzegała, ażeby Panienki głośno nie mówiły, nie śmiały się i gościom nie przeszkadzały; wieczór poszli zawczasu spać, bo Babunia i Mama, wciąż gośćmi zajęte, nie miały cza-

su z niemi się bawić; a im najmiłszą była ta zabawa, którą one z niemi dzieliły! Nazajutrz więc, przyszły na śniadanie ze smutnemi nieco twarzyczkami, co Babunię mocną zadziwiło. Cóż wam to kochane dzieci? mówiła do nich troskliwie, czyście słabe? czy wczoraj co takiego uczyniliście, za co Mama, albo Zaufnisia, was polajała?... Dla czegoż tak smutne oczki, spuszczone, usta bez uśmiechu u was postrzegam.

Na to Staś, lubo najśmielszy ze wszystkich, rzekł jednak niepewnym głosem; Babuniu! nudno nam było wczoraj; tyle gości, tak wiele słusznych osób; Mama, Tata i Babunia tylko niemi byli zajęci; o nas nikt nie pytał, my u stołu nic mówić nie mogli; my nie lubimy takiej Stój Zofii! o nie, my wolimy, obiad bez galaret, i wieczór bez lodów, ale z Babunią, i z Mamą, w salonie, kiedy możemy wszystko powiedzieć, o wszystko się pytać, i biegać ile

nam się podoba. Nam zawsze potrzeba tego, ażeby się Babunia, Mama i Tata, nami zajmowali, my nie możemy być szczęśliwi ani nawet w zabawie dać sobie rady, bez was drodzy rodzice! Nic Babunia nie odpowiedziała, na tę szczerą, a razem pochlebną mowę; ale gdy nadszedł wieczór, i już nikogo obcego w Krajominie nie było, zgromadziła około siebie dzieci, poprzednim dniem tyle zniechęcone, i ofiarowała im, nowy wcale przedmiot zabawy, obowiązując się na każde tegoroczne odwiedziny, przysposobić dla nich powieść, równie dla zabawy, jak i nauki im pożyteczną. Te cztery powieści, otrzymawszy od dobrej Babuni, dla wszystkich posłusznych i grzecznych wnucząt, ofiaruję wam dzieci kochane! Oby was równie jak Stasia, Zosię, Karolcię i Anielkę zabawić, i nauczyć mogły!



A N T O S I A

C Z Y L I

Wychowanka samej siebie (1).

Powieść pierwsza.



Czyli uważaliście kochane dziatki, tę młodą Panią, która siedziała obok Taty u stołu w dzień moich imienin; tak zaczęła mówić Babunia skoro się dzieci, każde jakąś lekką robotą zajęte, około krzesła jéy zebrały. O! i bardzo, odpowiedział żywo Staś. Ta Pani, ma coś tak miłego w spojrzeniu, tak łagodne-

(1) Treść téj powieści, jest prawdziwą, oprócz niektórych szczegółów, opis jéj uprzyjemniających; wypadek ten zdarzył się w czasie kiedy go opisuję.

go w uśmiechu, że mnie tylko Mama moja ładniejszą od niej być się wydaje.

. A jak też ona ładnie ubrana była, przerwała mu Zosia, jeszcze żywiej; jaki szal piękny, co za suknia gustowna, uważaliśmy dobrze tę Panią, zaręczam Babunię; ale i cóż dalej, czy to o niej Babunia mówić będzie? słuchamy, słuchamy!

Zosiu! Ty zawsze sama tylko mówić chcesz, zawołała Anielka, i ja uważałam ładną Panią; i ja Babuniu, krzyknęła Karólcia; mało piła wina, ale co konfitury, to lubi podobno, bo aż dwie morele wzięła na swój talerz. A czy nie widziałas, że je posłała staremu Panu Sędziemu, który chwalił je bardzo, a daleko od nich siedział, odrzekł Staś, nie, ta Pani nie jest łakomą, jak ty myślisz Karolciu! Ona jest równie dobrą jak ładną. Ona musi być doskonałą; bo mnie się bardzo podoba.

Uśmiechnęły się obydwie Matki, na to stanowcze Stasia wyrzeczenie. A ty Anielko, cóż w téj Pani uważałaś szczególniego? Ja Mamo, odparła Anielka, słodko się uśmiechając, najbardziej ją pokochałam z tego, że tak grzecznie się bawiła z głuchą Panią Nosalską, która tak jest nudna, że z nią mało kto mówi; i zawsze sama jedna siedzi opodal towarzystwa, nasza ładna Pani przysiadła się do niej, i dosyć długo i głośno mówiła z nią, o kwiatach, ogrodach, i o sposobach bielenia najlepiej płótna; widziałam jak biedna Pani Nosalska, ucieszona była z jój towarzystwa, jak się uśmiechała do niej, widać było że z nią mówiła o tém, co ona najlepiej lubi i rozumie.

Ja także słyszałam ich rozmowę, rzekła Zosia, i pomyślałam sobie, jakże ta Pani musiała mieć dobrą Mamę, łaskawą na siebie Babunię; jak starannie była wychowaną, kiedy się tak pięknie

sprawia, i tak się wszystkim podobać
umie!

Otóż to ja właśnie, kochane dzieci,
przypadki téj miłej osoby, dziś wam
opowiedzieć postanowiłam, rzekła Pa-
ni Uszycka spokojnym tonem; osądzi-
cie same: czy jéj wychowanie było do
zazdrości, i czy nie na większe jeszcze
od was zasłuży pochwały, skoro począ-
tek jéj życia znany wam będzie?

Niebardzo daleko od Krajomina, le-
ży wioska mała, wśród boru nad bystrą
rzeką zbudowana, nazywa się Grado-
wice, w téj wsi mieszkał przed kilku-
nastu laty majątny szlachcic, nazywał
się Gradecki! już od kilku wieków, je-
go naddziady orali, sieli, i zbierali plon
w Gradowicach, niemając wyobraże-
nia o inném szczęściu, jak o tém, któ-
re do dobrego zbioru zboża i korzystne-
go jego spieniężenia przywiązane być
może. Młody Gradecki, był pierwszy z
téj rodziny, który został do szkół od-

dany. Nauczono go czytać i pisać, po-
acinie cokolwiek, przytem Panów sza-
łnować, braci szlachtę kochać, a chłopa-
mi jako upośledzonymi istotami pogar-
dzać. Dalej nie rozciągały się wiadomo-
ści Pana Gradeckiego; ale że jego ojciec
ożenił się dobrze, że był wziął za żonę
powinowatą Pana Wojewody, oddano
więc młodego Felixa na dwór tego kre-
wnego, gdzie lubo pełnił służby rozma-
ite, zawsze jednak, za coś więcej, jak za
służącego uważany bywał. Umarł sta-
ry Ojciec i Matka Felixa, a ten, uprzy-
krzywszy sobie serdecznie okazałość
dworu Pana Wojewody, wrócił do swo-
jej wsi skwapliwie, ażeby tam samo-
władnym zostać panem ludzi, zwie-
rząt, pól i lasów, które po śmierci ro-
dziców niezaprzeczoną jego własnością
się stały. Pan Gradecki był człowiek
pocciwy, i rzetelny, nie krzywdził ni-
kogo, nie niepokoił sąsiadów o granice,
nie odmawiał im nawet usługi swojej,

kiedy się ta niesprzeciwiała własnej jego korzyści: ale przytém tak niewymownie skąpy, tak chciwy na powiększenie majątku, że sobie nie pozwalał żadnej chwili odetchnienia ani spoczynku; nie przedsiębrał żadnej czynności, któraby inny cel iak zbieranie lub ochronę pieniędzy mieć mogła.

Pan Gradecki nie trzymał Ekonoma, bo mu się zdawało że sam nierównie lepiej ludźmi zarządzi, i roboty ich dojrzy; nie miał pisarza, bo nie wierzył żeby ten mógł mu rzetelnie wymiar zboża zapisać, i żeby klucza od spiechrza z ręki nie wypuścił; niechciał trzymać gospodyni i wołał sam do spiżarni chodzić dziesięć razy na dzień, jak ją powierzyć rozsądnej kobiecie. Służących do pokoju nie trzymał, bo dom jego, lubo już i tak dosyć szczupły, był do połowy zupełnie pusty i zamknięty; nie było go komu zamieszkać, ani w czystości utrzymać. Mieścił się sam, w

małej komorze, obok kuchni; ażeby widzieć co chwila co czeladź robi, nie dosypiał w nocy, bo się bał żeby go nie okradziono; nie wyjeżdżał nigdzie, rzadko nawet bywał w kościele, bo nie miał komu w swoją niebytność domu powierzyć; słowem, Pan Gradecki pomimo znacznego majątku, licznych domowych porządków, i nieskażonego imienia, był jednak w położeniu godnym politowania; a co gorsza, nikt go nie żałował, bo powszechnie znano, że sam sobie to położenie przysposabia, zbyt dużą chciwością.

Ale Babuniu! my o ładnej Pani, a nie o brzydkim skąpym szlachcicu słuchać przyszli, zawołały zniecierpliwione i troszkę popsute wnuczka. Zwolna, zwolna, moje drogie dziewczynki, odrzekła Babunia, już niedługo o niej mówić zacznę. Zosiu, podaj mi moją robotę, a bądźcie cierpliwe, bo inaczej nie wiem, czy dziś skończę!.... O to nic nie

szkodzi, droga Babuniu! zawołała Zosia, powiadaj długo o ładnej Pani; ale co o tém nudziarzu, co tak brudny i skąpy, to już dosyć. Ależ on koniecznie, do mojej powieści potrzebny! A to na co Babuniu? On nic do naszej pani, nie należy; nie, nieprawdaż? Zobaczymy, odrzekła poważnie Babunia! Staś, dał znak młodszym ażeby się uciszyły, a Pani Uszycka, tak dalej mówiła: Takie więc życie prowadził przez lat dwadzieścia i kilka, mój sąsiad Pan Gradecki; dochodziły mnie częste, o jego osobliwém życiu, wieści: wyznaję, żeśmy obydwie z moją córką mało wiary dawały opowiadaniu naszych służących o tém co się w Gradowicach dzieje; aż nakoniec, przekonaliśmy się o ich rzeczywistości, przybyciem cygana który przyszedł do Krajomina z ogromnym niedźwiedziem; zadziwiona tém zjawiskiem kazałam go badać z kąd jest? i gdzie idzie? znając dobrze, że takowe

włóczęgi, nie miały wstępu wolnego do kraju wówczas kwitnącego w pokoju! Odpowiedział, że całą ich gromadę, pokryjomu sprowadził Pan Gradowie do tamtejszych lasów, i że oni, w obszer-nych jego borach zamieszkują swobo-dnie, opłacając się jednak Panu za to sowicie.

Nowy ten pomysł powiększania do-chodów, przez Pana Gradeckiego wy-myślony, rozśmieszył i zatrwożył mnie razem; szczęściem, że moi sąsiedzi mniej byli obojętni na ten wynalazek; nieba-wnie władze miejscowe o pobycie tak niebezpiecznych istot w naszej okolicy uwiadomione zostały; cygani i nie-dźwiedzie, znikły z Gradowskiej pu-szczy, ale pamięć ich długo w tutejszej okolicy pozostała! bo gąski i prosięta, nie miały większych nieprzyjaciół, a Pa-nu Gradeckiemu, odebrali z procentem opłaconą daninę, zabrawszy wychodząc kilka sztuk srebrnych naczyń, po rodzi-

cach starannie, w pustym pokoju zachowanych, ale w którym powybijane szyby w oknach, łatwy dawały przystęp dla oka i ręki złodzieja. Takie więc życie wiódł Pan Gradecki, aż doszedł lat pięciudziesiąt; był on przystojny kiedyś, i miał nawet pewną szlachetność w rysach twarzy, ale praca tak ciąгла, tak ciężka, pochylała jego ciało, głowa jego zawczasu okryła się siwizną, a oczy niewczasem zmordowane, (bo nigdy nocy niedosypiał, wartując około domu) były już mocno osłabione i zgasłe. Pozwalał sobie jedynie odwiedzać kilka razy do roku Panią Chciwowską, majątną wdowę, sąsiadkę od folwarku, w którym on Niemieszkał, i który był opodal od Gradowic; kiedy więc tam zjeżdżał, dla obrachowania podstarościego, lub karczmarsza, szedł na obiad do Pani Chciwowskiej, żeby nie kazać dla siebie gotować, powracał nawet do niej i na kolacyą, a zasiadłszy,

przy misce kartofli ze słoniną, albo kaszy jaglanej z mléką, rozmawiali o niepogodzie lub o suszy, o niepilności sług swoich, a nadewszystko o sposobach oszczędzenia się w wydatkach, aż nadto wielkich, na ich małą intratę! Pani Chciwowska uczyła sąsiada, jakie gatunki ziół albo ziarna można mieszać do kawy, ażeby najpodobniejszą do dobrej była: sąsiad zaś uczył Panią Chciwowską, jak pokryjomu wybierać obrok ze żłobów, a spędziwszy tę kradzież na niedbałość fornali, jak nagradzać koniom ten ubytek, ordynarją tych ludzi; która im śmiało potraconą być może, bo oni nas i tak aż nadto na ich małą pracę kosztują.

Było to zaiste, doskonale dobrane towarzystwo z Pana Gradeckiego i z Pani Chciwowskiej. Nikt w okolicy nie wątpił, że się pobiorą, służący téj ostatniej, już się zwolna oddalać zaczęli, bo się bali wejść pod władzę takiego Pana.

Pleban i sąsiedzi winszowali z przyciskiem odmiany stanu wdowie; ona sama, odpowiadała na to wesoło i z wiele znaczącym uśmiechem, ale inaczej niebo rozrządziło losem mego starego sąsiada, i ten dziwnym sposobem rozstrzygniętym został. Pan Gradecki, szedł raz pieszo do siebie do swojej sąsiadki, w samo południe wśród lata; upał był nieznosny; sad owocowy przegradzał go już tylko od domu, chciał skrócić sobie drogę, przeszedł przez płot i puściwszy się ścieżką w gęstwinę, zaszedł prosto do budy sadowego żyda, który ogród od Pani Chciwowskiej arędował, znały go żydki równie jak i psy ich, spokojnie więc mógł być iść dalej; ale widok niespodziany zatrzymał go przy budzie.

Młoda osoba, w krótkiej wyszarzanej sukience, w obdartym kapeluszu, w dziurawych rękawiczkach; trzymała w ręku kilkanaście gruszek i głośną rozmo-

wą z żydówką zaprzątniętą była. Pan Gradecki sądził, że ona owoc kupować przyszła; a że mu się dosyć podobała, prosił sadowęj, ażeby się targowała o gruszki, i że on sam za 3 grosze takowych kupi, byleby tylko spuściła taniiej dla panienki.

Aj wej mir! krzyknęła żydówka, czy Jaśnie Pan myśli że Panna Kasia kupować przyszła? Ale tam znowu, Panna Kasia, sprzedaje swoje śniadanie, i dobrze się o nie targuje jak Pan widzisz! Tak jest, sprzedaję rzekła cierpko Panienka, cóż to komu szkodzi? Jakto! zawołał zdumiony Gradecki, Panna śniadania nie jadasz? może to na wstążeczkę, na kapelusik nowy, te pieniądze zbierać obrócić zamysłasz? Na wstążki! odparła z pogardą Kasia; a broń mnie Boże! ja zbieram, bo lubię pieniądze. Czy podobna, odparł stary Kawaler, ażebyś Pani w tym młodym wieku, miała tak rozsądny sposób myślenia.

Pan Gradcecki idąc z Kasią przez ogród do domu, bukszpanem zasadzoną uliczką, dowiedział się od niej, że była jedyną córką Pani Chciwowskiej, że ją Matka na usilną jej prośbę odebrała z pensyi gdzie rok jeden w pobliskim miasteczku strawiła. Przecie Mama już zaniecha, tych niepotrzebnych zbytków (mówiła dalej), suknią którą musiałam nosić na pensyi złożyłam do kuferka i chyba do ślubu ją wyjmę; zastałam tu mój przeszłoroczny ubiór, w tym bardzo jeszcze parę lat chodzić mogę; Mama wyznaczyła mi dwie gruszki na śniadanie; ja mam dosyć jednej na dwa dni, bo chleba, który pieką dla ludzi, sporo sobie biore; zebrany zaś owoc oddaję na powrot sadowemu, który mi za to płaci, z małym dla siebie zyskiem; już 25 groszy zebrałam tym sposobem. Co to za radość będzie, gdy te grosze na złotówkę zmienię! Taki w tej chwili ogień wydawały oczy Kasi na to wspo-

mnienie, jak wydają teraz oczy jéj córki, na widok przez nią spełnionego dobrego uczynku. Pan Gradecki, z uwielbieniem spoglądał na tę małą, otyłą, czerwoną twarzyczkę, która się rozplýwać zdawała, nad szczęściem uzbierałej złotówki; a chcąc ją poznać dostatecznie, zapytał ciekawie: wieleż Pani lat liczysz? Ośmnaście Panie, odrzekła; jużbym w moim wieku powinna była i płótna dosyć przyporządzić i wieprzków co przychować, i masła z parę aftli sprzedać, a pieniądze za nie schować; ale cóż! od maleńkiego byłam w klasztorze, potem na pensyi, Mama uczyć się kazala; rok cały strawiłam na czytaniu, pisaniu, i proszę Pana, grać mi na klawikorcie kazali się uczyć; dla Boga! wieś prawie przedaćby trzeba, na kupienie klawikortu! niech mnie Bóg broni, od takiego marnotrawstwa. Ale Mama Pani, myśli ją pewnie wydać za mąż za jakiego młodego i grzecznego

kawalera. A broń mnie Boże! ja za młodego kawalera? a w cóżby się obrócił majątek, dobytek, słowem, wszystko to, co Pan tu widzisz. Bo ja to, ja, jestem dziedziczką tego wszystkiego. Mama osiedzie w mieście, jak mnie za mąż wyda; obiecała, że tylko 1000 zł. na swoje utrzymanie żądać będzie ode mnie; i to dużo, ale jak dużo, z kąd ja je wezmę; i jak pracować będę musiała na taką sumę. — Może też Mama i mniejszą się obejdzie, pomruczał sobie Pan Gradecki, i skończył rozmowę, bo właśnie wtedy wchodzili do domu gdzie z obiadem na nich czekała Matka tak czule o niej rozmawiającą córkę. Niebawnie po tém poznaniu się Pana Gradeckiego, z Panną Katarzyną Chciwowską, nastąpiło ich wesele, i oni to są rodzicami téj ładnej i dobrej Pani, która wam się tak podobiała, moje drogie dzieci! — Czy podobna? zawołało całe grono słuchaczów Pani Uszyckiej. Nie, nie,

kochana Babuniu! żartujesz z nas; to być nigdy nie może! tak mówili Staś i Zosia; a młodsze dziewczynki, uśmiechając się jedna do drugiej i potrząsając główkami, okazywały, że dzielą starszych mniemanie. Tak jest istotnie, kochane dzieci! Pani, która tak nam wszystkim wczoraj okazała się przyjemną, jest Antosia, starsza córka Państwa Gradeckich. Ale ja opowiadanie początku jéj życia na jutrzejszy dzień odkładam; bo po wczorajszym wieczorze, Babunia wywczasować się potrzebuje! — Babuniu droga! o Antosi, powiadaj nam, o Antosi! tak prosiła Anielka Panią Uszyckę, kiedy się nazajutrz wnuczęta około niéj zebrały; my cichuteńko siedzieć będziemy i słuchać dobrej Babuni. Zosiu, Stasiu! nieprawdaż? Jeżeli mi więc przerywać nie będziecie, dokończę dzisiaj mojej powieści, rzekła Babunia, siadając poważnie z robotą.

Słuchajcie, dzieci moje, a osądzicie same, coby było z Antosią się stało, gdyby się była oglądała na starania i zajęcie się nią rodziców, albo tych osób które ją w dziecinnych latach otaczały.

Nie polepszyło się nic w Gradowicach, od czasu przybycia tam młodej Pani. Zdawało się i owszem, że przez połączenie kobiecego nieporządku i skąpstwa, z mężką chciwością i nieładem, jeszcze się pogorszył byt tamiecznych podwładnych i domowników. Skoro tylko Antosia chodzić umiała, używała ją Matka do tych samych posług, które odbywają wiejskie dziewczęta; pasła gęsi, wyganiała w pole trzodę, przewracała len w ogrodzie, spędzała kurczęta; słowem, wszystko to czyniła do czego w każdym folwarku, używają sierotki zwyczajnie w nim chowane. Jak się urodzili dwaj braciszkwie Antosi, obróciła ją Matka na ich piastunkę; a biedna dziewczynka, dźwigała od rana do no-

cy dzieci, od których sama niewiele co starszą była. Nadtobyście się zasmuciły, gdybym wam opisać chciała, ile biedy użyła Antosia, w tym dziecinnym wieku, w którym wy, moje dziatki, tak jesteście swobodne i szczęśliwe! Dostała nieraz połajanie niesprawiedliwie, i karę, na którą nie zasłużyła; nie miała ani sukienek, ani trzewików, sypiała na ziemi, jadła grube potrawy, i chleb razowy, słowem Antosia do lat 10ciu była bardzo nieszczęśliwą. W tym to wieku, zdarzyła się w jój losie odmiana; a to, co dla innych dzieci największym nieszczęściem bywa, stało się dla niej szczególnie pomyślnym wypadkiem. Pani Gradecka wkrótce po urodzeniu się najmłodszej siostry Antosi umarła, bo w chorobie swojej, żadnym sposobem po doktora posłać nie chciała; żałując oderwać koni od pracy gospodarskiej; a więcej podobno jeszcze kosztów na opłatę doktora; umarła więc młoda ta

ofiara chciwości i skąpstwa; zostawiwszy męża w podeszłym wieku, który nigdy się nie spodziewał ją przeżyć, i czworo drobnych dzieci, bez żadnego dozoru i opieki!... Antosia, była z nich najstarszą. Bóg jój użyczył zdolności tyle, że sama rozeznawała, ile jój nie dostawało wykształcenia, i tych wiadomości, które nawet jój wiekowi właściwe bywają. Brat jój młodszy, wywichnął był nogę przez niedozór, a dwa tygodnie będąc bez opatrzenia, został kaléką może na zawsze! i ten troskliwych potrzebował starań; Ojciec, zmartwiony śmiercią Matki, leżał chory w łóżku; żadnej nie było w domu rozsądnej osoby: dziewczki dwie wiejskie, całą stanowiły domową usługę; Antosia nasza nauczyła się była czytać na starej elemencie, którą w podarunku od Pani Chciwowskiej dostała, umiała katechizm i pacierz, a w wieczór, czasami, czytywała modlitwy na książce

Matki. To było całe jęj umysłowe wykształcenie; ale Antosia miała roztropność, z niepospolitym naturalnym dowcipem połączoną. Widząc Ojca, na bolesném łóżku, a Matkę w grobie, nie traciła czasu na niewczesném opłakiwaniu swojej niedoli; objęła rząd domu; doktora dla Ojca zgodziwszy, starannie jego przepisy względem pielęgnowania chorego wypełniała; powierzyła mu brata kulawego, który niebawnie, pod jego dozorem, wyzdrowiał prawie zupełnie!.. Przyjęła do domu kobietę w wieku, ale roztropną, która zajęła się spiżarnią i bielizną dzieci; wnet bracia i siostrzyczka Antosi, dostali białe koszulki i przyszli do łóżka Ojca pierwszy raz z umytemi twarzyczkami, i bez pierzy we włosach. Ojciec jęj ciągle jeszcze był chory, turbował się jednak mocno, że przyjęcie kobiety drogo płatnej, wielką mu sprawi szkodę, zaczął się dziwić, że dzieci jego ze zby-

tkiem ubiera, i wyrzekał że nigdy na te wydatki jego majątek nie wystarczy. Antosia odmieniła więc swój sposób wychodzenia z Ojcem, już nie tak często łóżko jego prześcielać kazała, dzieci w stariej odzieży do niego przyprowadzała; doktor nie zawsze Ojca widywał, kiedy przyjeżdżał; ale ona mu zdawała sprawę o postępach choroby, bo go nieustannie pilnowała; a tak niewinnym podstępem, połączyła dogodzenie Ojcu w jego słabości, z rządem i przyzwyczajeniem, które, ile miała do tego zdolności, w dom Ojca wprowadzić postanowiła. Ojciec zaczął do siebie przychodzić; doktor odwiózł mu młodszego syna dobrze wyleczonego jego staraniem; Antosia, niezmiernie była z siebie zadowolnioną; a przekonanie o tém, że dobrze czyni, dodawało jej mocy w wykonaniu ułożonego w swojej 10cio-letniej głowce planu postępowania na przyszłość.

Skoro Ojciec zupełnie do siebie przyszedł, najprzód go prosiła ażeby jęj pozwolił jechać do kościoła na nabożeństwo, dla podziękowania Bogu, za jego wyzdrowienie. Pojechała więc bryczką z bratem starszym, i jedną ze służących; było to święto i dosyć już przed kościołem stało powozów; ale jeszcze było zawczasu; Antosia nie nosiła nawet po Matce żałoby (bo któżby jęj ją był sprawił) okryła tylko swoją białą sukienkę, dużą czarną chustką, pozostała po Matce, a niewidząc jeszcze nikogo w kościele, poszła do xiedza proboszcza, chcąc go prosić, ażeby Ojca w słabości odwiedził. Zastała w plebanii dużo zebranych gości, którzy na zaczęcie nabożeństwa oczekiwali; grono ładnie poubieranych dzieci, które biegały po ogrodzie plebana i rozmawiały, to po polsku, to po francuzku, igrając wesoło z ulaskawioną wiewiórką zajęło najprzód uwagę wchodzącej do pokoju

Antosi. Spełniwszy zlecenie Ojca do swego pasterza, prosiła o pozwolenie wejścia do ogrodu z bratem.

Krótką sukienka, obdarte trzewiki, i wielka chustka, która Antosię okrywała; brata zaś, cała opuszczona i niezgrabna postać, a do tego, nieśmiały krok ich, w zbliżaniu się, dały dzieciom tam zebrany powód do sądzenia, że te dzieci, co wchodząc, stanęły z daleka, byli młodzi żebracy!... Zgromadziły się zaraz do swoich ochmistrzyń, i prosiły o pozwolenie, zrobienia na te biedne sieroty małej składki! Dziesiątaczki i grosze, obficie spłynęły w woreczek, najstarszej między niemi panienki, która, zadowolniona tym zbiorem, pobięła ofiarować go biednym dzieciom, które zapewne, jak mówiła, przybliżyć się wstydzily. Jakież było naszój Antosi upokorzenie! kiedy rówienniczka w wieku, a zapewne i w urodzeniu, sąsiadka, mniej może od niej majątku po-

siadająca, w ładnym tiulowym czepeczku, w sukience wygarniowanej, i w pstro malowanym fartuszk, przyskoczyła, do niej z uśmiechem, i grzecznie jej zebraną jałmużnę podała. Weź to kochanko, rzekła: to jest mała składka, od nas samych; ale, jak Mama do ogrodu przyidzie, to pewnie wam da więcej. Cóż niewypowiedzianie przykrego uczuła Antosia, spostrzegając za kogo ją biorą, gorzkie łzy upokorzenia spłynęły na jej lica, odsunęła woreczek w milczeniu i chciała się oddalić... Ale brat jej, surowy i nieznający grzeczności chłopiec, grubijańskim sposobem odepchnął podającą jałmużnę panienkę, i krzyknął ze złością: albo my to dziady, że nam jałmużnę dajecie? my jesteśmy z Gradowic młodzi Panicze! może więcej mamy w domu pieniędzy, słyszycie, jak wy wszyscy warci; idźże sobie ty jakaś, bo cię nauczę. Gorzej się jeszcze Antosia obejściem brata zawstydzila, a

ledwie zdołała przeprosić panienkę, gdy dano znać, że czas na nabożeństwo; Antosia wzięła brata za rękę, wprowadziła go do kościoła, uklękła na boku przed ołtarzem Stego Antoniego swego patrona i gorąco się modlić zaczęła ażeby jej Bóg użyczył sposobu, którymby uzyskać mogła, stosowne stanowi swemu wychowanie. Wysłuchał Bóg modlitwę młodej sieroty, bo On, prędzej czy później, zawsze wysłucha tych, co go szczerze, i w sprawiedliwej błagają sprawie.

Ksiądz Proboszcz, odwiedził naza-jutrz Pana Gradeckiego, potwierdził o-powiadanie Antosi, o upokarzającym ją zdarzeniu. Obudziła się cokolwiek w nim duma swych przodków, i bardzo się rozgniewał na te dzieci, które jego potomstwo za żebraków wzięły. Dla czegoż to proszę uniżenie, mój Mości księżu proboszczu, rzekł żywo mimo jeszcze słabego zdrowia; wszakci, moje

dzieci tak wyglądają jak i inne; wszak my mamy klejnot szlachecki, jeszcze od Króla Łokietka; wszakci Gradeccy, od lat trzechset kilkadziesiąt, w téj ziemi osiedli, w niej ciągle piastowali urzędy; mam z łaski Pana Boga, pięć folwarków w polach, dwa piękne z bo-rem, długu ani szeląga; jakże mogły te tam jakieś modne panięta, wziąć moje dzieci za żebraków? Nie przeczę ja, kochany Panie, żadnemu z wymienionych przez ciebie zaszczytów, odparł poważnie szanowny pleban; ale właśnie dla tego, żeś Pan i zacnego rodu, i dziedzic tylu włości, wypadaloby pomyśleć o staranniejszém wychowaniu swych dzieci, a nawet o stosowniejszej ich majątkowi odzieży, ażeby się śmiało mieścić mogły pomiędzy równemi sobie. Trzeba Pannę Antoninę oddać do Madame w Warszawie, Pana Juliusza do szkół w wojewódzkim mieście, a młodsze, pod dozorem poczi-

wój Małgorzaty, przysposabiać do dalszych nauk. A dla Boga! Mości księżu, co mi téż radzisz! czy podobna, żebym ja Antosię z domu oddalił; a któżby z kluczami chodził, kto wydawał czeladzi; kto doglądał krów i przedzenia; na to żeby po modnemu chodziła i po francuzku mówiła, ja miałbym płacić za nią? Nie, to być żadnym sposobem nie może. Gniewał się Pan Gradecki, rzucał, laiał długo, aż przecię ły Antosi, i zdrowe rozumowania plebana, przemogły upór jego. Nasza mała bohaterka odwiozła najprzód sama do szkół brata swego, zgodziła dla niego stół i stancją, zapłaciła za całe pół roku, a sprawiwszy sobie niezbędną odzież żałobną, powróciła do domu, gdzie, pod kierunkiem Małgorzaty, oporządziła się jak mogła, i wsiadłszy na bryczkę, pojechała ze starym uproszonym o jej odwiezienie sąsiadem oddać się sama na pensyą w Warszawie. Niemale było podziwie-

nie osób, składających szkołę uczennic Pani B.... jednej z najslawniejszych w Warszawie, kiedy przed jej bramą stała niepozorna bryczka, z której wysiadł stary osiwiały szlachcic, z 10cioletnią Panienką, ubogo, ale przyzwoicie ubraną; ta lubo nie umiała ani się zgrabnie uklonić, ani wytwornie tłómaczyć, oświadczyła jednak wyraźnie i z przyzwoitým uszanowaniem, że będąc pozbawioną starań Matki, pragnie być przyjętą do instytutu Pani B.... obiecując być jej posłuszną i szanować ją jak własną Matkę. Towarzysz jej złożył dowody urzędowe, jako ta panienka istotnie była córką dziedzica Gradowic i innych włości; wyjęła przytém Antosia z małej szkatułki woreczek, dosyć dobrze złotem napełniony; i zapytawszy się, wiele z góry za pół roku za jej wychowanie wyliczyć należy, prosiła Panią B.... ażeby zaraz żadaną kwotę od od niej odebrać raczyła. Ułatwiwszy

ten tak dla niej ważny interes, pomówiła tajemnie z towarzyszem swój podróży, zdawało się, że mu czule dziękuje, za jego około niej poniesione trudy, a lubo nieznacznie wsunęła w jego rękę cokolwiek tego złota co w woreczku miała; nie uszła jednak jej hojność bacznego oka Pani B..... która ztąd pochlebne powzięła mniemanie o dobroci serca swój nowój uczennicy. Odmienny sposób życia i codziennych zatrudnień Antosi, czynił jej początkowy pobyt na pensyi nader trudnym: musiała zacząć uczyć się tego, co siedmioletnie uczennice już niezgorzej umiały. Pisać nawet biedna dziewczyna nie umiała jeszcze; starała się więc, nieustannie pracując, zastąpić brak zupełny pierwotnego wychowania; dopomagały jej do tego, nietylko nauczycielki, ale nawet starsze współ-uczennice, bo Antosia przez swoją słodycz i dobroć serca, prędko ich przyjaźń uzyskała; a tak by-

ła przekonaną o potrzebie prędkiego nabycia tego, co do jej wykształcenia brakowało, że nawet od służących napomnienia przyjmowała z wdzięcznością, kiedy jej rozsądek słuszość onych okazywał. Pani B... coraz więcéj ją lubiła: rzadka jej pracowitość dziwnie czasem odbijała, z lenistwem i roztrzęsaniem innych panienek u niej będących. Podczas rekreacyi Antosia robiła braciom swoim szkarpetki, albo szyla koszulki dla małej siostry, ucząc się pilnie przy téj robocie zadanej lekcyi. Trudniéj nad wszystko przyszło jej ułożenie swe zmienić; a pomimo długo branych lekcyi tańca, nie mogła jeszcze nabrać téj zgrabnej lekkości, która się od lat dziecinnych nabywa, kiedy jeszcze skład ciała przez ciężkie prace nie jest przeistoczony; ale i te przeszkody zwalczyła Antosia; po upłynieniu lat dwóch, tak była odmieniona, tyle nabrała wdzięków powierzchownych i przymiotów

serca i duszy, że sama Pani B... win-
szowała sobie uwieńczonego skutku
swych starań. Miewała Antosia dosyć
częste z domu wiadomości, Ojciec do
niej pisywał, ile razy kto z jego stron
jechał do Warszawy. Zdrowie jego za-
wsze było chwiejące; nie posyłał jej
nigdy pieniędzy, i dziwił się czasem, że
ją tak długo Madame na pensyi bez
zapłaty trzyma; ale tém lepiej myślał
sobie, tu jej nie karmię, ani odziewam;
a jak się Madame uprzykrzy, to ją ode-
szle. Nasza Antosia wiedziała dobrze,
wyjeżdżając z domu, że się niczego od
Ojca spodziewać nie może. Dozwolił
jej Ojciec, aby wzięła z jego szkatułki,
do której klucze podczas jego choroby
miała, tyle ile na jej potrzeby wystar-
czyć mogło przez czas niejaki; ale po
dwuletnim pobycie na pensyi, mało
bardzo już pozostało w owym woreczku.
Nadchodził téż właśnie czas szkolnego
examinu, i po nim nastąpić mających

wakacyi. Osoby rządowe, Mamy i opiekunki panienek w instytucie będących i licznie zebrani goście zajęli miejsca w dużej sali; popisywały się panienki z rozmaitemi, tak naukowemi jako i przyjemnemi wiadomościami; z zadowoleniem wszystkich tych którzy tam mieli córki albo krewne swoje. Wieloliczne nagrody miały być rozdane, Matki albo Opiekunki tych uczennic które na nie zasłużyły, oddawały im te oznaki zaszczytne; a tzy radości skrapiały nieraz książkę, albo ładny koszyczek drżącą ręką Matki podany. Nagroda słodczy charakteru i pilności w nauce pozostała do oddania. Nasza Antosia, skromnie ale powabnie ubrana, w białej sukni różową wstążką przepasana, z takąż przepaską w ciemnych włosach, gładko na czole przedzielonych, wychodzi z pośród towarzyszek swoich, ale napróżno szuka téj ręki, któraby jej nagrodę oddać miała! napró-

żno przystępuje do krzeseł, gdzie damy siedziały; nikt nie sięga na stół dla podania jej pięknej safianowej teki, rozmaitemi pismiennemi potrzebami napelnionej, która nagrodę pilności stanowić miała. Oczy Antosi napelniły się łzami!... O Boże! zawołała, ja tak się starałam szczerze aby na nią zasłużyć; a tu niema nikogo z czyich rąkbym ją przyjąć sobie życzyła! ja niechęć téj nagrody; cóż mi po niej, kiedy nie mam ani Matki ani Opiekunki, któraby się wspólnie ze mną moimi postępami cieszyła. Całe zgromadzenie zajęło się mocno szczególnym tym wypadkiem. Urzędnik, który z obowiązku przewodniczył temu examiniowi, powstał i sam chciał wręczyć Antosi nagrodę, przemówiwszy wprzód w wyrazach do jej położenia stosownych; ale młoda osoba, mało co od Antosi starsza, uprzedziła go powstając żywo. Za pozwoleniem mojej Mamy i WPana Dobrodzieja, rzekła,

niechaj mi dozwoloném będzie oddać Antosi tę nagrodę; z mojej ją zapewne mile przyjmie ręki, nie prawdaż, kochana Antosiu? przypomnij sobie, proszę, spotkanie nasze przed dwoma laty w plebanii; miłszym ci pewnie będzie ten dar z mojej ręki dziś odebrany, jak ów który pomyłka dobrego serca wtedy ci ofiarowała. Antosia rzuciła się naszyję młodej osoby i rzekła z uczuciem: przyjmuję z rąk twoich nagrodę z wdzięcznością. Ty! coś mnie widziała jaką byłam wtedy, a czém jestem teraz, najlepiej osądzić potrafisz moje wysilenia; dziękuję ci tysiącnie droga przyjaciółko! Pani B.... wytłómaczyła zgromadzeniu przyczyny tego zdarzenia. Antosia stała się przedmiotem zajęcia; wszyscy chwalili ją, przedstawiono za przykład do naśladowania, będącym w równym wieku panienkom, a wnet uzyskała tyle przychylnych sobie międy zebranemi gośćmi, ile było dobrych

Matkę w tém zgromadzeniu. Dzień ten nader przyjemne zostawił Antosi wspomnienie; postęp jój w naukach był znaczny, zręczność w robotach rzadka na jój wiek, muzyka nawet i taniec już szły niezgorzėj. Ale woreczek uszczuplał się codziennie!... Ojciec nic od niej jakiego czasu nie pisał; a o nadesłaniu pieniędzy od niego, ani myśleć nie mogła. Nadeszły wakacye; postanowiła jechać do niego, ale z kim?.... Wiedziała, że jój Pani B. samój jechać nie pozwoli, a wstydziła się nawet służącój z instytutu brać z sobą, ażeby jój nie pokazać nieporządku i skąpstwa w domu Ojca panującego. Przypomniła sobie wtedy, że młoda Helena Rolińska, taż sama, która jój nagrodę oddała, miała wyjechać z Matką na wieś, w sąsiedztwie Gradowic; napisała do Pani Rolińskiej za pozwoleniem Pani B. ażeby ją z sobą wzięła; i wkrótce z tą przyjemną rodziną puściła się w drogę. Ale bie-

dna Antosia! nie przeczuwała wcale, podczas wesoło odbytej podróży, jak smutny ją w Gradowicach czekał do spełnienia obowiązek.... Zastała Ojca przy schyłku życia; i zaledwie dni kilka pozostało jej do oddania mu należnych starań... Skonał staruszek, błogosławiąc swe dzieci, ale jeszcze na godzinę przed śmiercią zamknął starannie szkatułkę z pieniędzmi i nie chciał dozwolić, aby mu zbyt drogie w jego mniemaniu lekarstwo z miasta przywieziono. Od śmierci Ojca Antosi, jej położenie stało się zupełnie innym dzieciom w opiece zostającym podobne. Krewni i powinowaci Państwa Gradeckich złożyli radę familijną, jak w takich przypadkach bywa, wzięli opiekę równie nad dziećmi, jak nad ich majątkiem; nasza Antosia wróciła do Pani B.... gdzie jeszcze lat 4 pozostała. Ukończywszy nauki z zupełném opiekunów zadowoleniem,

powierzoną mi została do czasu, póki sobie nie obrała za męża brata téj Helenki Rolińskiej, z którą dotąd czuła ją przyjaźń łączy. Pani Rolińska jest równie dobrą Matką jak żoną i przyjaciółką wzorową; pełni wszystkie obowiązki swoje, równie dokładnie jak przyzwoicie; a co jój najwięcej chluby przynosi jest to, że sobie samój wykształcenie swoje przypisać powinna. Tak Babunia kończy swoje pierwszą powieść; z téj poznacie, drogie dzieci! że rozsądek i przytomność umysłu, czasem zastąpić mogą niedoświadczenie dziecinnego wieku; że zawczasu wam się przyzwyczajać należy do obejścia się bez codziennych starań, które przez nieszczęśliwe życia wypadki, łatwo wam odjęte być mogą.—Niepięknie Babunia zakończyła tak ładną powieść; my zawsze Babunię, Mamę i Tatę mieć będziemy, my nie chcemy inaczej my-

śleć, bobyśmy płakać musieli, a ja wiem, że Mama nie lubi kiedy dzieci płaczą tak mówili mali słuchacze powieści. Uściskała Pani Uszycka i córka jej swe lube dzieci w milczeniu; bo cóż można na to odpowiedzieć tym szczęśliwym istotom, które jeszcze nie rozumieją co to jest rozłączenie na zawsze, z drogiemi nam osobami przez śmierć lub oddalenie sprawione.



OLEŚ I MARYNIA

Powieść druga Babuni.



Czy też Babunia pamiętać będzie o tém, co nam obiecała jakieśmy byli ostatnią razą w Krajominie, rzekł Staś do Zosi, skoro przy końcu lipca ślicznego letniego poranku, wsiedli wszyscy do koczka, ażeby zwyczajną, a tak miłą lubym dzieciom odbyć pielgrzymkę. A jakże zawołała Karolcia czy nie pamiętasz, że prosiła Mamy, ażeby dla niej przywiozła dużo włóczek i bawełny do robót. — No, i cóż to ma do tego Karolciu? odezwiała się Anielka. — Czy nie domyślasz się? że Babunia długą i pię-

kną nam powie historią, bo niechcąc próżnować podczas opowiadania, potrzebuje dużo bawełny i włóczki, do zwijania i robienia z nich różnych dla nas rzeczy. Jakto Karolcia zgadła, nieprawdaż Mamo droga? — Pani Złotomska, tak teraz, jak i zawsze, kiedy do Krajomina jechała, znajdowała się w przyjemném usposobieniu umysłu, wesołe sprzeczki lubych dzieł, niewinne ich spostrzeżenia, domniemanie niespodziane, urozmaicały nader miło tej dobrej Matce, krótką podróż do tak drogiej sercu jej osoby; sprzeciwiła się żartem twierdzeniu Karolci, mówiąc że nie wie wcale o żadnej nowej powieści; Babunia była słabą cokolwiek; jeździła przytém do dawniej swjej przyjaciółki; miała różne domowe zatrudnienia; a zatém może Babunia nie przypomniała sobie nic do opowiadania wnuczkom swoim. — To być nie może; nie, to

żadnym sposobem być nie może: rzekł Staś poważnie. Babunia uczy nas zawsze, że nigdy tego nie trzeba obiecywać, czegobyśmy dotrzymać nie mogli; Babunia obiecała powieść na pierwszą naszą bytność i dotrzyma swój obietnicy; za to ja ręczę.—I ja także, rzekła Karolcia, bo Babunia nie chciałaby nas zasmucić kiedy my jój tak dobre od naszych nauczycieli, wieziemy świadcstwa. O nie, nie. Założmy się Stasiu, że nie będzie powieści. zawołała Zosia z uśmiechem do brata; ja i Anielka mówimy że nie będzie powieści; Staś i ty Karolciu mówicie że będzie. — A o co się założemy?... O koszyk malin z Babuni ogrodu. Ci co zakład przegrają, będą zbierać maliny dla tych, co go wygrają; ale ani jednej nie skosztują. — Dobrze, dobrze, zawołały dzieci. Pani Złotomska zezwoliła na to; a przy końcu podróży cała się sprawa wytoczyła

przed Babunię, która zakład roztrzygnąć miała. Jak minęły pierwsze przywitania, opowiadania, udzielenia wiadomości różnych z miasta, tak przez Panią Złotomską, jako i jej dzieci, przypomniały sobie wnuczęta zakład w podróży zrobiony, i prosiły dobrej Babuni o roztrzygnięcie ważnej tej sprawy. Nie pomylił się Staś ani Karolcia w dobrem mniemaniu o mojej rzetelności, rzekła ona z uśmiechem; lubo dziś mieliśmy upał nieznosny, ale już świeżość wieczorna powietrza wabi na przechadzke; jutro więc podczas skwarne go południa, kiedy wszyscy w cieniu szukać będą ochłody, udzielię wam obraz wypadków dwóch nader zajmujących istot. Niezapominając jednak o przedmiocie zakładu, duży koszyk malin, znalazł się nazajutrz pośród stołu, który dzieci wesoło obsiadły; te co zakład wygrały, udzieliły je tym co przegrały, bo czy

podobna, nieużytyć innym tego co nam przyjemność sprawia..... Ale przyjemniejszą jeszcze dla nich, była powieść Babuni, która usiadłszy w wygodném krześle, z nowo zaczętą robotą, tak mówić zaczęła.

Państwo Słowieccy, od swego pobrania się mieszkali w Warszawie, on sam piastował tam urząd znakomity; trzymali dom okazały, dawali częste obiady, świetne wieczory; słowem, żyli tak jak żyją zazwyczaj w stołecznych miastach urzędnicy pierwszego rzędu. Mieli oni dwoje dzieci, syna Olesia który już lat 13 kończył i córkę Marynię, rokiem młodszą od brata. Te dzieci były na pozór najszczęśliwsze istoty w świecie, bo nikt niesprzeciwiał się nigdy ich woli; wszyscy ci którzy uczęszczali do domu Państwa Słowieckich, przesadzali się w uwielbieniu tak powierzchownych jako i umysłowych przymiotów ich dzieci. Co za ładne pod-

wieczorki bywały u przyjaciół domu rodziców Olesia i Maryni w dniu imienin lub urodzin ich dzieci! jakie odbierały ładne wiązania, co za niespodziane zabawy dla nich wymyślano, jak je chwalili domownicy, jak im nadskakiwali służący, słowem wszystko to nader im było przyjemne. Ale, jak będziecie starsze, drogie dzieci, to poznacie dostatecznie, co to jest za nieszczęście, służyć za cel pochlebstwu, i za sposób przypodobania się tym, których z potrzeby ujmować siebie usiłują podwładni; tak więc te pochwały, te uprzedzenia główki im poprzewracaly, że ani Oleś ani jego siostra nie czuli żadnej potrzeby przykładania się szczerze do nauk, kiedy widzieli, że najmniejsze ich staranie za nadzwyczajne w wykształceniu uważano postępy. Pan Słowiecki trzymał do Olesia nauczyciela, który mu towarzyszył do szkół, i z nim w domu powtarzał dawane tam nauki; ale zatru-

dnienia publiczne Ojca, nie dozwalały mu często wglądać w naukowe prace syna... Pani Słowiecka, lubo bardzo była dobrą i Matką i Żoną, tak jednak wiele zajmowała się towarzystwem, strojami i zabawami wielkiego świata, że jej rzadko, a to w rannych tylko godzinach, pozostawało cokolwiek czasu, do zwiedzenia pokoju córki, gdzie Marynia, pod dozorem młodej szwajcarki, rozmaite od odwiedzających ją godzinami nauczycieli, odbierała nauki; Oleś był tak roztrzepany, że o niczem jak o figlach myślał, a wracając do domu ze szkoły, jedynie tylko wieczorną zabawą, teatrem (gdzie ich Matka często z sobą brała) balikiem albo spacerem miał głowę zajętą, mało więc bardzo w niej pozostało miejsca, do tego co słyshał w klasie, a mniej jeszcze do rozsądnych napomnień nauczyciela, którego wszelkie usiłowania, speszły zawsze przed głosem pochlebstwa służących i

domowych przyjaciół.... Marynia zaś była niewypowiedzianie leniwą, niczego jój się uczyć nie chciało, oprócz tańca; bo tyle odbierała pochwał, kiedy gawote tańczyła, tak uwielbiano jój ładną nóżkę, jój zgrabną figurę, że za pierwszym pociąganiem smyczka na skrzypcach swego tancmistrza lenistwo jój ustępowało zupełnie chęci podobania się, która już bardzo silnie opanowała była jój młode serce.

W czasie kiedy wam ich opowiadam historią, miały te dzieci (jak mówiłam) od lat 12 do 13, najlepszy czas do nauk i pracy, bo w tym wieku, u dziewcząt uzupełnia się wychowanie, u chłopczyków zaś jest to pora do powzięcia wyższych wiadomości; słowem, tak u jednych jak i u drugich, czas niepowetowany, kiedy go się na fraszkach marnuje, a nieodżałowany w późniejszym wieku, kiedy się z niego nie korzysta. Mama Olesia i Maryni miała bardzo ma-

jętną i dobrą ciotkę, która osiadła była za granicą; ale, że dosyć lubiła Panią Słowiecką, a przytém miała niektóre czynności do ułatwienia w Warszawie, oznajmiła jęj rychły tam swój przyjazd, i prosiła Pani Słowieckięj, ażeby stosowne dla nięj chciała wynająć mieszkanie. Pan Słowiecki, chętnie się przychylił do życzenia swęj żony; ażeby tak pożądanego i dawno oczekiwanego gościa, umieścić w swojém mieszkaniu; a Pani Hrabina, przybywszy niebawnie, zajęła kilka pokoi w domu rodziców naszych małych przyjaciół. Była to osoba bardzo roztropna i światła, sama w swojęj młodości wiele się oddawała wychowaniu dzieci; bo i własne dziatki bardzo dobrze ukształciła, i nawet przez czas niejaki, sprawowała z chlubą, urząd ochmistrzyni młodych księżniczek, przy jednym dworze niemieckim; Oleś i Marynia, cieszyli się bardzo, na przyjazd tęg ciotki, bo im się

zdawało, że i ona, tak jak wszystkie otaczające je osoby, przesadzać się będzie w pochwałach i usilném ubieganiu się o ich łaskę. Ale, wszystko to inny obrót wzięło. Pani Hrabina uściślała czule dzieci swojej siostrzenicy, i przywiozła im z zagranicy ładne gościńce; były to nowe dzieła jeszcze u nas nieznane, do wyższych nauk służące dla Olesia; i wzory do haftu, farby do malowania, jedwabie, pelle i t. p. dla Maryni; a dla obojga, teki z kopersztychami celniejszych obrazów, i śliczny zbiór malowanych kwiatów z natury; te tak użyteczne i wytwornie dobrane dary, dosyć ozięble przyjęte zostały. Czy się bardzo cieszysz Maryniu, z gościńca odebranego od cioci? zapytał Oleś siostrę, rozrzucając nie dbale kopersztychy na stole. O! co nie, to nie, braciszku! zawołała ziewając Marysia; ja się spodziewałam sukienki na model Paryzki, szarfy pięknej ta-

kiej jak widziałam u Hrabianki Jadwigi na balu, albo ładnego woreczka do noszenia chustki. A ja, odrzekł Oleś, pięknego konia, do tych nowych sanek, co mi darował niedawno Pan Assesor, albo gry jakiejś nowo-wynalezionój za granicą; aż tu ciotunia, dała nam obrazki; jakby małym dzieciom, co się na nich uczyć mają, a mnie książek! kiedy ja sam niewiem co mam robić z temi ktore moję szafkę napelniają. Nie, Marynko, mnie się nie podoba ciotunia; a tobie? I mnie nie bardzo, ale Mama daje na jej przybycie balik dziecinny, może jak moją gawotę zobaczy i pochwali, na większą sobie łaskę u mnie zasłuży; zobaczemy, a tym czasem idę na lekcya tańca, bo już przygrywa wesoło gawota, Pan Rigodon. Dary ciotki zostawiwszy porozrzucane na stole, pobiegli oboje do tańcmistrza który zajmował zawsze ich całą uwagę; kiedy inni nauczyciele na niedbalość ich bez

ustanku narzekali. Balik się udał dobrze, Marynia najświeżej ubrana, najładniej tańcząca, najwięcej uwielbiana, nieposiadała się z radości; wykonała trudne skoki w gawocie, z niepospolitą lekkością i wdziękiem; Staś ślicznie tańczył kozaka, a że po większej części sala napelniona była potrzebującymi łaski albo opieki Pana Słowieckiego, oklaski i pochwały zgromadzenia trudne były do opisania. Zagraniczna ciotunia pochwaliła dzieciom ich zwinność i umiejętność w tańcu; ale bez żadnej przysady i jakby rzecz obojętną i niewartą długiego zastanowienia się. Ona jedna nie przyskoczyła do Pani Słowieckiej z uniesieniem swe zadowolenie objawiając; ona jedna nie dziękowała Maryni, tak jak to czyniła prawie każda Pani na balu będąca z zachwyceciem; ona jedna pochwaliła drugą pannienkę która z Marynią tańcowała, a widząc ją opuszczoną i smutną, po osta-

tnim ukłonie w pośród sali stojącą, wzięła za rękę i z wyrazem swego zadowolenia do Matki jój zaprowadziła. — Dobrze twoje dzieci tańczą, kochana Amelio! rzekła na pół po cichu do Pani Słowieckiej, ale na cóż im tak dobitnie wasi oznajmują przyjaciele, że im się ich taniec podoba; wszak to tak mała na przyszłość różnica, między lepiej lub gorzej tańczącą kobietą, a tak wielka, między gorzej albo lepiej wychowaną zachodzi, że.... O kochana ciociu, przerwała Pani Słowiecka, zostawmy proszę te spostrzeżenia na jutro; moja Marynia może nas wysłuchać, boję się żebyśmy jój humoru nie zepsuli; ma zaraz tańczyć contredansa, a mnie wiele na tém zależy, żeby dobrze tańczyła, bo młody xiaże L.... stanął na przeciwko niej z małą Wojewodzianką.... Nie odpowiedziała na to Hrabina. Całe swoje życie na wielkim świecie strawiwszy, nadto dobrze znała je-

go błędy, ażeby ich nie umiała pokryć pobłażającym milczeniem! I tak rozmowa tych Pań przerwana została. Nie wznowiła jej ciocia do końca tego wieczoru, i zdawała się jedynie przyjemnością jego zajęta. — Ale, nazajutrz około dwunastej godziny, kiedy się już i dzieci i rodzice i domownicy wywczasowali; kazała Hrabina prosić obojga dzieci do siebie. — Olesiu! rzekła do siostrzeńca, mam pilny list do pisania w interesie ważnym, a cierpię cokolwiek na oczy, po wczorajszym spóźnionym wieczorze; powiem ci treść mojego listu, będę cię prosić żebyś go napisał za mnie. — A ty droga Maryniu! wyreczęmnie proszę, oto rachunek kupca, który dopiero co odebrałam, chciałabym się przekonać, czy mu się istotnie tyle należy, chciój go przejrzyć i zrachować za mnie. — Z kwaśną miną i prawie ze łzami w oczach, usiadły dzieci do wypełnienia rozkazów ciotuni, ale na

próżno; Olesia list był nietylko nieczytelnym pismem skreślony, ale tak zawily w stylu, z tak niewłaściwym wyrazem do mającej go odebrać osoby, że się Hrabina przekonała, iż to była praca nad zdolności jej siostrzeńca. — Nie lepiej się powiodło Maryni! nauka rachunków była jedną z tych, do których lenistwo jej najmniej dozwalało się przykladać; narobiła więc niezliczonych pomyłek i zamiast kilkudziesiąt zł. powiększyła dług Hrabiny do kilku tysięcy. — Ta ostatnia przejrzała w milczeniu te tak niedokładne roboty dzieci, i bez żadnej nad nimi uwagi schowała je do swego stolika; nazajutrz wdała się z Marynią w rozmowę o historyi Stój, jeografii i t. p. ale i tu przekonała się ze smutkiem, że i w tych przedmiotach, lubo przez ochmistrzną starannie nauczana, słabe bardzo na swój wiek uczyniła postępy. — Co Olesia, to już zwabić nie mogła do żadnej

z sobą rozmowy, uciekał od niej jak od ognia; twierdząc że kobieta nieuczona w szkołach publicznych, nie powinna się mieszać do wychowania męskiego, że on to wszystko lepiej zna od niej; i że wreszcie nie widzi żadnej przyczyny zdawania examinu przed obcą osobą, której pewnie już nigdy widzieć nie będzie, skoro się z domu rodziców oddali, co wkrótce nastąpić miało. — Pan Siowiecki lubo grzecznie bardzo był przyjął Hrabinę w domu swoim, nie bardzo jednak smakował w jej rozumowaniu, osobliwie o wychowaniu dzieci! Przyzwyczajony słyseć zawsze jednogłośne wyrazy uwielbienia, kiedy mówiono o Olesiu albo Maryni; nie pojmował jak mogła tak obeznana w tym przedmiocie dama nieuznać ich wyższości, nad wszystkie dotąd przez nią znane dzieci. — Jeszcze mniej była Pani Siowiecka w tym względzie z ciotki swojej zadowolniona; częściej albowiem

miała sposobność przekonania się o jej surowém zdaniu w téj mierze. — Zbliżał się wyjazd Hrabiny, a Oleś i Marynia równie jak i ich rodzice niebardzo się tem smucili. — Ciotunia nim wyjechała, miała długą rozmowę z Państwem Słowieckimi; pokazała im jakieś papiery, wspólne rozumowania podniosły się głośno aż do sprzeczki, a rodzice naszych małych bohaterów wyszli z pokoju widocznie pomieszani; Hrabina zaś zasmucona i ze łzami w oczach; pożegnanie było obojętne ze strony całej rodziny. — Ciotka zaś, rzekła ściskając czule Amelią, bądź zdrowa drogie dziecko, pomnij na to com ci mówiła; bo-dajbyśmy się w lepszym z sobą porozumieniu zobaczyły! To wyrzekłszy wsia-dła do pojazdu, gdzie ją obojętnie i z niejaką powagą odprowadził Pan Słowiecki. — W kilka miesięcy po odjeździe Hrabiny, w skutku niepomysłnej w kraju zmiany, wszystko się w domu

Państwa Słowieckich odmieniło... Znakomity urząd przez Ojca Olesia i Maryni posiadany, został mu nagle odejty, z nim znikły: okazałe życie, znaczenie, dochody, a zatem i domowi przyjaciele... Bo, drogie dzieci! doznacie aż nadto prędko w przyszłości, jak to nas opuszczają przyjaciele i znajomi z wielkiego świata, kiedy pomiarkują, że się już u nas bawić nie będą mogli.... Niektórzy współ-uczniowie Olesia, nawet stronili od niego z wyraźnego swych rodziców rozkazu.... Pani Słowiecka odbierała już tylko obojętne wyrazy politowania, i suche zapewnienia żalu nad jej smutném położeniem, tam gdzie dawniej przesadzano się nad okazywaniem jej szacunku i uprzejmości. — Pan Słowiecki lepiej jak jego rodzina, z całym ogromem swego nieszczęścia obeznany nierównie więcej jak żona i syn jego poddawał się rozpaczom! Co Marynia to słysząc, że i Szwajcarka i niektórzy

metrowie niebawnie oddaleni zostaną, a nieznając jeszcze dokładnie przyczyny ich oddalenia, bardziej się cieszyć, jak smucić temi wypadkami zdawała; ale gdy Pan Rigodon został odprawiony, wtedy zaczęło się dopiero dla niej istotne nieszczęście. W krótcie pałac rządowy, gdzie tak wygodne zajmowali pokoje, opuścić musieli i sprzęty równie wytworne, jak kosztowne, przez licytację publiczną zostały sprzedane; jedna tylko sługa dla Matki i córki, jeden lokaj pełniący ogólną służbę domową; i kucharka której potrawy po wykwinnym Francuzie bardzo złe się wydawały, stanowiły całą domową usługę Państwa Słowieckich. — Wyprowadzili się w odległą stronę miasta a lubo tam skromne bardzo życie wieśdź przedsięwzięli, nie był to jednak jeszcze domiar ich nieszczęścia.—Państwo Słowieccy żyjąc tak okazale, a niemając ani dóbr ani innych dochodów jak tyl-

ko te, które urząd przynosił, narobili dosyć długów; ale póki byli w znaczeniu, żaden wierzyciel im się nie przykrzył; skoro zaś tylko wieść się rozeszła, o utracie posady Pana Słowieckiego; wszyscy jego wierzyciele odezwali się razem, i jeszcze nie opuścił był swego okazałego mieszkania, kiedy już bardzo rano z domu wychodzić musiał, ażeby niesłyszeć ich żelźwych wyrazów i nieznośnych jemu wyrzutów. Perły i szale Pani Słowieckiej, kosztowne domowe ozdoby, malowania, starannie zebrany księgozbiór, a nawet i Maryni kosztowniejsze drobiazgi, wszystko na korzyść wierzycieli, zostało spieniężone! a już nawet i kucharkę odprawiono i jeszcze do nędzniejszego musiano przenieść się mieszkania; kiedy im nagle Bóg zesłał pomoc z takiego źródła, z którego się jój nigdy spodziewać nie mogli.— Pan Słowiecki miał sposobność zobowiązania wielu osób podczas swego

urzędowania; ale jakże mało było takich, którzy sobie przypomnieć raczyli stosunki dawniej między niemi a rodziną Słowieckich zachodzące; wiedząc jakiego przyjęcia mógł się w teraźniejszych okolicznościach spodziewać, nie chciał się im przypominać, ażeby ich niewdzięczność nie powiększała jego udręczenia. — Jednego poranku wszedł do pokoju Państwa Słowieckich stary obywatel; jego cała powierzchowność przedstawiała na miernym majątku osiadłego szlachcica; nie poznali go zrazu rodzice Olesia i Maryni, ale ta ostatnia zaraz przyskoczyła do niego. Papo! zawołala, ukloniwszy mu się; to ten Pan co przeszłego roku tak długo czasem oczekiwał na twój powrót z bióra, w naszej jadalnej sali przypatrywał się, kiedyś lekce tańca brała, uśmiechał się do mnie a potem usiadłszy w kąciку modlił się cicho; ja mu nieraz kieliszek wina podać kazałam, on mi wtedy

dziękował pokornie i błogosławiąc życzył ażeby w ślady Mamy i Papy wstępowała i tak dobrą była, jak oni. Ah to Pan Dobrowicz, zawołał Pan Słowiecki, przypominam sobie Pana teraz, cóż to go dzisiaj do mojej lichiej ustroni sprowadza? — Ja to! ja jestem, Mości Dobrodzieju, odparł sędziwy obywatel, kłaniając się z uszanowaniem, tak, jak się dawniej kłaniał Panu Słowieckiemu, może JW Pan zapomniałeś, coś dla mnie uczynił jakieś mnie poparł w sprawiedliwych pretensjach moich, jak przez wpływ jego, moi synowie stosownie do ich zdolności korzystnie są umieszczeni! jak moja córka za staraniem JW Pani do instytutu guwernantek przyjętą została, i już teraz sama na siebie pracuje. — Ja zaś odzyskawszy, za jego silną pomocą; szczupły ale wystarczający na siebie samego majątek, używając spokojnie

dobrodziejstw waszych, skoro tylko dowiedziałem się o wypadkach, które zmieniły los JWPaństwa, przychodzę im ofiarować usługi moje; wywdzięczając się z tylu mi wyświadczonych dobrodziejstw.... Usiadł Pan Dobrowicz obok Pana Słowieckiego i wytłómaczył mu sposób obmyślony przez niego, dla polepszenia losu całej rodziny Słowieckich.... W bliskości wioski Pana Dobrowicza, miała być majątność w dzierżawę puszczone, pod korzystnymi bardzo warunkami; ktoby tam chciał szczerze pracować, dodał Pan Dobrowicz z przyciskiem, mógłby mieć na tym folwarku niezgorszy kawałek chleba; żądają tylko kilka tysięcy kaucyi, zapisanej na stałym majątku; cena dzierżawy umiarkowana, mógłbyś Pan łatwo przyiść do niej. — Ale, kochany panie, odrzekł Pan Słowiecki, ja gospodarować nie umiem! a kaucyi wystawić nie jestem w stanie. — To prawda, odparł

Dobrowicz, ale gospodarować ja Pana nauczę; tak jakżeś mnie Pan uczył sposobów odzyskania niesłusznie zagrabionego majątku; a o kaucyi, ta na mojej wsi zapisana będzie; przyjmie ją chętnie właściciel owego folwarku, a tym sposobem, wszelkie trudności uprzątnięte zostaną. — Podziękowali czule Państwo Słowieccy zacnemu Dobrowiczowi, obiecali zastanowić się nad jego przyjacielską radą, prosząc tylko o jeden dzień namysłu; zostawił ich samych, i nazajutrz powrócić obiecał. — Naradziwszy się wspólnie, uznali rodzice Maryni i Olesia, że nic innego do czynienia im nie pozostało, jak korzystać z ofiarowanej pomocy; resztę kosztowności uratowanych z ogólnej przedaży spieniężono, na zapłatę pierwszego roku dzierżawy; a zezwoliwszy z wdzięcznością na wszystkie inne Dobrowicza układy, wyprowadzili się na wieś wraz z dziećmi swemi. — Oleś

i Marynia nie byli nigdy na wsi, nie widzieli włościan, ani wiejskich zatrudnień, tylko na teatrze, gdzie ładnie ustrojone pasterki, albo ogrodniczki z kwiatami, lub sierpami w ręku skakały sztucznie w baletach; możecie sobie wystawić, kochane dziatki, jak dziwne im się wydawały też same przedmioty w istocie. — Cóż to za niska i brzydka kamienica? zawołała Marynia, jak wjechali na popas do pierwszej karczmy. A skoro zobaczyła, że w témże miejscu, gdzie się znajdowały żydowska rodzina, wiejscy ludzie, cięłątka i gđakające kury, obiad jeść trzeba, zaczęła płakać i grymasić i niejadłszy nic, głodna pojechała dalej. — Ani rodzice, ani brat, nie zdołali jęj pocieszyć, bo równy wstręt ogarnął ich wszystkich w karczmie, lubo go ci ostatni, w przytomności swych dzieci nie wydawali.... Oleś pobiegł dla oglądania blisko pasącęj się stadniny, a wzięwszy z sobą parę pieczonych

kartofli, niechciał i kosztować reszty obiadu. — Gdyby jak wy, moje dzieci, od dawna te lekkie niesmaki podróży cierpliwie znosić nauczeni byli, mniej by zapewne zdawało im się przykrą, ta przeciwność tak mało znacząca, w porównaniu tych które im do przeciężenia pozostały..... Był to albowiem dopiero początek, nader trudnego zawodu, który odtąd ich wszystkich stał się udziałem.— Przyjechali na miejsce swego przeznaczenia. Co za smutny widok po tak świetnej przeszłości. Dom drewniany stary, czarny, na w pół w ziemię wciśniony; z jednej strony kilka pokoi mieszkalnych, z drugiej kuchnia i folwark; sień duża, przez którą drób przepędzano, bo innego wyjścia nie było; dziedziniec lichym płotem ogrodzony, w pośród którego była mała sadzawka, na niej pływało stado gęsi, do których z wrzaskiem mnóstwo kaczek się tłoczyło; za domem, pod drabiną przy-

stawioną do dachu, była kanapa z darniny, kilka krzaczków agrestu i porzeczek; kwatery z kapustą, pietruszką i marchwią, dalej szpaler grabowy przy płocie, i kilkanaście drzew gruszkowych i śliwkowych, to nazywano tu włoskim ogrodem. — Opodał od domu, stał obok kurników i chlewów stary murowany lamus, który służył za spiżarnią i schowanie na mleczywo, bo miał obszerne sklepy. Nieosobliwe to było, dla tak wykwintnie utrzymującej się rodziny siedlisko, zrobiła obejmując je, tę uwagę w milczeniu Pani Słowiecka. Ale, te same okoliczności, które ją do zamieszkania onego przywiodły, nakazywały jęj, ażeby wraz z mężem pracowała nad dalszém utrzymaniem się, w tém tak niemiłym ustroniu. Możecie sobie łatwo wystawić, że Oleś i Marynia na wsi, nie tylko do zabaw ani strojenia się, ale nawet do nauki czasu nie mieli. Ojciec był zmu-

szony używać Olesia za pisarka; musiał on więc ludzi przy robocie pilnować, zapisywać pańszczyznę, klucze trzymać od stodół i śpichlerza; wstawał ze świtem, cały dzień albo konno albo piechotą zwiedzał pola, doglądał siewów i sadzenia kartofli; a wieczór wróciwszy do domu znużony, nie myślał o czytaniu, a tém mniej o figlach i pustocie; tylko się kładł spać zjadłszy skromną wieczerzę, ażeby znowu nazajutrz pod okiem Ojca taż samą się zajmować pracą. Marynia mimo swego lenistwa, nie mogła ani chwili próżnować; doglądała zrana dojenia krów, przy niej masło robili, chodziła do spiżarni i duży pęk kluczy zawsze u paska dźwigała; bo ustawicznie czegoś od niej żądano, a biedna dziewczynka, mając jeszcze na sobie wytworny miejski ubiór i modny lubo pognieciony kapełusz, przebiegła sto razy na dzień z domu do lamusa, a z tego na powrót; za-

dyszana, zmęczona, wracała smutno w wieczór do swego alkierzyka, gdzie jeszcze dla siebie i brata bieliznę narządzać musiała, bo jedna ich służka nie mogła wystarczyć całej domowej robocie; wtedy to poznały te biedne dzieci jak drogim był ów czas, który niegdyś marnotrawili na czezych zabawach i pustocie, mając wszelką sposobność kształcenia umysłu i nabywania wiadomości. Nieraz Marynia gorzko zapłakała, spostrzegając że coraz bardziej zapomina, tego nawet co się tak niedokładnie przy najlepszych była nauczyła metrach. Nieraz Oleś radby był pozostać w domu, ażeby sobie przypomnieć jaką dawniej odebraną naukę, nieraz chciał sobie powtórzyć początki matematycznych twierdzeń albo odczytać co z kilku klasycznych dzieł przez Ojca sprowadzonych; ale niestety! spiesz się, spiesz, Oleś! dziś trzeba dosiać koniecznie, albo jutro owce strzygą, na krok nie można

odstąpić; tak nieustannie wołali na niego i Ojciec i poczciwy Dobrowicz, któremu się zdawało, że wszelka nauka jest niepotrzebną, byleby być dobrym gospodarzem. — Pan Słowiecki i jego żona utyskiwali skrycie nad zaniedbaniem wychowania swych dzieci; i ten to był cios najdotkliwszy przez utratę dobrego bytu im zadany.... Ale znając swoje położenie, zgadzali się z wolą Pana Boga, a usiłując w nich wpajać pobożność i moralne cnoty, życzyli sobie nawet, ażeby zapomnieć mogły o wszystkich innych przedmiotach, które tak świetnie otaczały pierwsze chwile ich młodego życia. — Biedne to były dzieci, kochana Babuniu! zawołała Anielka, oni nie mieli takiej dobrej Babuni;aby ich niebyła opuściła jak ci Warszawscy przyjaciele. — O nie, zapewne, odparła Zosia, całując czule rękę Babuni. — Ale nie przerywajcie mi, rzekła Pani Uszycka, bo już niedługo czas będzie zanieść

żniwiarzom posilek i użyć miłego wieczornego chłodu. — Słuchamy, słuchamy Babuni! zawołali razem Staś i Zosia; a Babunia tak dalej mówiła. — Już im w tém wiejskiem ustroniu upłynął rok cały; dnia jednego Marynia stała w ogrodzie pilnując pielących tam warzywa kobiet; robiła przytém skwapliwie skarpetkę dla brata, z domowych w zimie uprzedzonych nici, Oleś był przytomny robocie około pszczoł na wiosnę; Pan Słowiecki wyjechał w pole, gdzie się odbywały jare siewy, a Pani Słowiecka kazała właśnie rozciągać płótno na trawie, gdzie się bielić miało; gospodyni karmiła mnóstwo drobiu przed sienią; a w kuchni krzątała się jedna dziewczka, która przy tém samym ognisku gotowała posilny obiad czeladki, wraz ze skromnym obiadem dzierżawców. — Gościniec szedł właśnie przy samej dziedzińca zagrodzie; zatrudnienie Maryni bardzo ją blisko niego zapro-

wadziło, a słysząc turkot zbliżającego się niespodzianie pojazdu, mimowolnie w tę stronę pobiegła; cóż za radosne podziwienie ogarnęło ją, kiedy ujrzała piękną poczwórną karetę a w niej owę ciotunię, której przestrogi tak mało skutkowały niegdyś w Warszawie na całej Słowieckich rodzinie. — To Pani Hrabina! to ciocia! może téż nasza skończy się niedola, tak sobie mówiła Marynia, biegnąc co żywo do wrót dziedzińca i wołając ażeby je otworzono, bo już karetą dojeżdżała do nich; wszyscy się zbiegli na przyjęcie Hrabiny; Pan Słowiecki spostrzegł jej pojazd z daleka i pospieszył galopem do domu; Oleś równie zdziwiony, jak ucieszony wpadł do pokoju mając jeszcze chustką twarz i głowę obwiązaną. Ciotunia uściskała z uczuciem wszystkich, weszła do ich domu, nie okazując żadnego zadziwienia, niewspominając o przeszłości; i owszem podwoiła swą czułość dla Amc-

lii i dobroć dla Maryni. Jeden tylko, rzekła ściskając ją, uczynię ci wyrzut: jakżeś mogła, moja Amelio, zachować względem mnie tak długie milczenie? Oddalenie się moje z miejsca zwyczajnego pobytu, spóźniło wiadomość, o tak dziwny losu waszego zmianie. Dowiedziawszy się o niej z pism publicznych, pisałam do was do Warszawy, listy moje odesłano mi na powrót; i to mi nastręczyło domniemanie, żeście miasto opuścili i w wiejskiem życiu ustroniu. Ach ciociu droga, odrzekła Amelia, co za ustronie.... Westchnęła głęboko, wiodąc wzrok po gołych pobielonych ścianach, nierówniej posadzce, i ubogo zastawionym stole, do którego właśnie Panią Hirabinę zapraszać miała. — Ale ta zajęła wesoło miejsce u stołu, chwaliła przedziwny rosół, pięknie upieczone kurczęta, polala je śmietaną, którą Marynia ze sklepu przyniosła, odmówiła czarną kawę, bo spostrzegła że dla niej je-

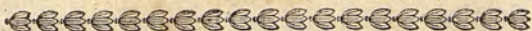
dnęj tylko podaną była; a po tym więkskim, ale, jak mówiła, wyśmienitym obiedzie, radziła ażeby dzieci wróciły do swych zwyczajnych zatrudnień i sama z rodzicami pozostała. Jużem wam powiedziała przyczyny opóźnienia się mego, w daniu wam pomocy, kochani Państwo, rzekła spokojnie Hrabina po oddaleniu się dzieci; nie wątpię o tém, że mnie moja siostrzenica o obojętność w téj mierze oskarżać nie będzie; ile że niepisząc wcale do mnie od czasu swego nieszczęścia, odjęła mi możność zmniejszenia onego; niespodzianie zostałam uwiadomioną o waszym pobycie w téj okolicy, a dowiedziawszy się z pewnością gdzie mieszkacie, nie chciałem powierzyć tego, co wam ofiarować przychodzę, korespondencyi listownej, która czasem późno albo wcale nie dojdzie w odległym ustroniu; puściłam się w drogę i miło mi bardzo, że przynajmniej zdrowych i już nieco z swoim położe-

niem oswojonych was zastaję. — Zarumieniła się mocno na te słowa Pani Słowiecka; on sam westchnął głęboko; uznała Hrabina, że początek jęj mowy nie był dla nich przyjemny, ale nie zważając na to, tak dalej mówiła: Odmiana losu, sposobu życia, zmiana dóstatków w mierność, hałaśnego miejskiego zamieszkania, w cichą wiejską zagrodę, są to rzeczy, które się tak często za naszych czasów wydarzają, że nie wie-dzieć kogo żałować, czy tych których jeszcze ten los nie spotkał, ale niebawnie spotkać może; czy tych, którym prze-trwawszy już wszelkie życia koleje, jakkolwiek mierny, ale pewny los stał się udziałem. Inna jest postać rzeczy, tam gdzie idzie o wychowanie drogich nam dżiatek, znam to dobrze że i ty luba Amelio i twój mąż największego z tego powodu doznajecie zmartwienią. Ale ciotunia temu zaradzi, bo istotnie

ten jest główny przedmiot mego do was przybycia. — Tu wchodząc w rozmaite szczegóły, oświadczyła dobra ciotunia, że Marynię życzy sobie wziąć do siebie i wychować jak własną córkę, byleby jęj posłuszną była, i jak drugą kochała Matkę. — Olesia do szkół odesłać radziła, na co przez lat trzy opłacać wszelkie obowiązała się koszta. — Państwu Słowieckim zaś ofiarowała pomieszkanie i wygody w swoich dobrach, gdzie on sam już doświadczony w gospodarstwie będąc, miał zarządzać w jej niebytności. — Biedni rodzice nie posiadali się z radości na tak korzystne i przyjemne oświadczenia; przywołano Olesia i Marynię, ucałowali tysiącnie rączki ciotuni łzami radości je oblewając. — Pan Dobrowicz, wynagrodzony za swoje dobre serce, objął po nich korzystną dzierżawę; oni zaś wszyscy pojechali z Hrabinią; najprzód do nięj na

wieś, gdzie Państwo Słowieccy wygodnie umieszczeni zostali. Oleś oddany do szkół zaniechał trzpiotostwa, uczył się jak najlepiej, ażeby odzyskać czas utracony i po upłynieniu trzech lat skończył szkoły, wszedł do uniwersytetu, a następnie w służbie krajowej użytym został. Marynią odwykła na zawsze od lenistwa, z ukontentowaniem wróciła do nauk, robót delikatnych i kunsztownych przedmiotów, i wkrótce się w nich wydoskonaliła, wdzięczna swojej Dobrodziejce. Dobra córka słodzi rodzicom samotność, często ich odwiedzając Słodką, miła i wesoła, nagradziła sownice ciotuni starania i wydatki na dokończenie jej ukształcenia poniesione. — A teraz idźmy do żniwa; kochane dzieci, powieść moja skończona. Babunia wstała, dzieci poskoczyły za nią dziękując za tak ładną powieść; obiecały z niej korzystać. Nie obawiamy się jednak nigdy,

mówiły sobie, ażebyśmy na taką jak Marynia i Oleś mogli przejść biędę; bo czyż niema zawsze dla nas kochanych rodziców, dobrej Babuni i miłego Kramina gdzie opuszczenie i niedostatek przystępu mieć nigdy nie mogą.



ŁAKOMY WILHELM

Powieść trzecia.



Już się zmniejszyły upały, już słońce nie tak długo przyświecało pięknej Krajomina okolicy; wysokie topole i niskie klombowe krzewy zdobiły swe liście, to złotym, to purpurowym kolorem; rozwijały się georginy, a słodkie winne grono wabiło i usta i oczy; kiedy Pani Złotomska wybrała się z dziećmi w ostatnią swą tegoroczną podróż; Staś tą razą pozostał przy Ojcu, bo nauki jego dopiero po wakacjach rozpoczęte, nie dozwalały mu się oddalać od szkolnej pracy; Zosia i Anielka ściska-

jąc go serdecznie przy pożegnaniu, obiecały mu uroczyście, że z pilnością powieść Babuni uważać będą, ażeby mu ją mogły powtórzyć, wróciwszy do Warszawy. Bo już nie wątpiły, ani przez jedną chwilę, że Babunia wywiąże się z uczynionój obietnicy. Ciekawość ich była więc bardzo zaostrzona; ale już kilka dni minęło, a o powieści ani Babunia ani dzieci nie czyniły wzmianki.... Wesole grono sąsiadów i przyjaciół, zgromadziło się w Krajominie; przyjechał tam sędziwy obywatel, brat Babuni z innego województwa; był on wielkim lubownikiem polowania i wyjeżdżał codziennie na łowy w liczném gronie sąsiadów i strzelców, przy odgłosie psów rozmaitego gatunku. Zaczem myśliwi śniadanie zjedli i wyjechali, upłynęły pierwsze dnia godziny; potém Babunia i Mama trudniły się zbierem rozmaitych jesiennych i zimo-

wych owoców i zachowaniem ich na różne sposoby przez zimę.... Pani Złotomska, chcąc Babuni zrobić niespodzianą przyjemność, umyśliła ozdobić i odmienić odległą część ogrodu, gdzie jej Matka nie bywała wcale w tak spóźnionej porze; sprowadzono tam więc dużo drzewek z lasu i mnóstwo krzewów z pobliskich ogrodów; wkrótce pięć ładnych klombów na pamiątkę pięciu jej wnucząt otoczyło łąkę; na której miał być na wiosnę ładny wiejski domek wystawiony. Kiedy byli goście, a Pani Złotomska z niemi pozostać musiała, to ją wyręczała Zosia, udzielając dyspozycye Mamy, ogrodnikowi i ludziom, pod jego dozorem pracującym.... Myśliwi wracali późno na obiad, a ich powrót był nową zabawą dla dzieci; przynoszono do sieni niekiedy sarnę, a codziennie zające, kuropatwy i rozmaite ptastwo przez nich ubite; siadano potem do stołu wesoło; spełniano za zdro-

wie myśliwych, a czasem i żartem za zdrowie tych chartów lub wyźłów, które tego poranku przyłożyły się najwięcej do pomyślnych łowów; grano w wieczór w różne gry, dzieci miały swój stolik osobny, gdzie się rozmaicie wymyślonemi dla ich wieku grami bawiły; tak schodził dzień za dniem, zbliżała się chwila powrotu ich do Warszawy, a jeszcze o żadnej nie wspomniano powieści.... Aż przecie jednego wieczoru taki był deszcz, taka zawierucha, że nawet i Dziadzia, jak nazywał Hipolitek brata Babuni pozostał w domu, a przeczytawszy z kilku poczt zaległe gazety, nie spodziewając się na wiska nikogo dla niepogody, zaczął już drzytać przy dopalającym się ogniu. Pani Złotomska wyszła do siebie po wieczorną robotę; a Anielka rzekła do Zosi z uśmiechem: jak to dobrze że już niema malin. — A toż dla czego? zapytała Pani Uszycka ciekawie. — A więc Babu-

nia zapomniała naszego zakładu, a może i tego, żeśmy byli w Krajominie w lecie, żeśmy wtedy o koszyk malin się założyli, że Babunia dotrzyma obietnicy; że Staś i ja zbierać je musieliśmy; i żeśmy wtedy i maliny zjedli i śliczną powieść słyszeli.... A teraz Dziadzia rano na polowanie budzi, w dzień Babunia galarety robi, a wieczór Bóg wie w co Państwo tak późno gracie; bo my idziemy spać nagrawszy się także w naszego Assarmota... Ale, na tém koniec nie będzie, Babuniu droga! rzekła Anielka składając swe drobne rączki i przybliżając się z cicha do Babuni; nie, nie, ty nam co powiesz: o jakiej leniwiej Maryni, albo o Antosi roztropnej; bo, czy powiemy Stasiowi za naszym powrotem, że Babunia słowa nie dotrzymała; to być nie może! nie prawdaż?.... Tu i Zosia i Karolcia obstały Babunię; Hipolitek biegał po pokoju na lase Dziadunia, jak na koniu siedząc; a

Babunia pokazując na zasypiającego Pana Sędziego rzekła po cichu, żeby się uciszyli, obiecując dotrzymać słowa, skoro Dziadzio nazajutrz na polowanie wyjedzie; ale brat Babuni obudził się na te słowa, i dowiedziawszy się o co idzie, prosił usilnie siostrę, ażeby na skrócenie tak ponurego wieczora swoje opowiadanie obrócić chciała, zapewniając że on także z pilnością jęj słuchać będzie. — Wróciła Pani Złotomska, dano lampę, poprawiono na kominku; Pan Sędzia wziął ulubionego swego Hipolitka na kolana, żeby się spokojnie zachował; dziewczynki obsiadły stół z robótkami; a duży kosz przedziwnych winogron i brzoskwiń postawiono na stole, dla odwilżenia, jak mówiła Zosia, głosu Babuni. — W jedném z naszych fabrycznych miast, tak zaczęła mówić Babunia, które, jakby cudem wzniosły się z pośród barów i strumieni; przez przemysł pracowitych, przybylców i

staranie opiekuńczego rządu, mieszkał majątny fabrykant nazwiskiem Maynert, był rodem ze Szląska ale się ożenił z Polką i założył w jej rodzinném mieście znaczną fabrykę sukna, miał więc dom porządny, kilka foluszów na przedmieściu, czeladzi niemało, ogród przy mieszkaniu swoim duży, w nim kręglarnię gdzie w niedziele i święta z przyjaciółmi się bawił, i altankę z wieżyczką na gościniec publiczny obróconą, gdzie siadywał wieczorem z kuflem piwa i lulką; tam oczekiwał na pocztę która mu trzy razy na tydzień o podwyższeniu lub niżeniu ceny wełny i sukien donosiła; tam się układał z żydkami o różne handlowe przedmioty; tam obchodził przy lulce i butelce wina z przyjaciółmi dzień swoich, syna, lub żony urodzin; słowem pan Maynert wiódł życie pracowite, spokojne, takie jak na uczciwego miernego stanu czło-

wieka przystoi. Pani Maynertowa była dobrą i rozsądną osobą; mając Niemca za męża, i mieszkając pomiędzy samymi prawie Szlązakami i Szwabami, przejęła po większej części ich obyczaje i sposób życia; pila zrana cieniusienką kawę w dużej czarze zamiast filiżanki; szła potem sama na targ, targowała się tam jak najbardziej, ale płaciła regularnie; w kuchni część większą poranku trawiła, ale za to obiad jej męża i domowników był zawsze smaczny i obfity; lepszy a mniej kosztowny jak nie jeden przez kucharza sporządzony, który się tylko ogromnością wydatków zaleca; resztę dnia obracała pani Maynert na czesanie, mycie i cackanie synka swego jedyne go Wilhelma; i na niepospolicie szybkie robienie pończoszki, NB. kiedy nie było w domu prania, bo w tak ważnej epoce Pani Maynert zapomniała nawet o pończosze; a prawie i o

Wilhelmku; i tak była tą ważną sprawą zajęta, że biada tym, którzy jej inne jakie przedmioty zatrudnienia poddawać chcieli; cała Polska uczynność i dobroć ustępowały w owym czasie Niemieckiej zrzędności; Pan Maynert w takich razach usuwał się zawsze do pewnego jakiego schronienia, w którymby go domowa burza dosięgnąć nie mogła; skład jego korespondencyi i altanka, były to dwa przybytki jego spokojności poświęcone; bo niestety! kręglarnia stawała się miejscem ulubioném w dni dżdżyste do rozwieszania chust i z niej niezawodnie zostałby wyrugowanym, gdyby się tam on albo jego przyjaciele pokazali byli wtedy. Gdy się dobrze pranie powiodło, i biała jak śnieg bielizna z koszów do świecących się od czystości szaf przełożoną została, wtedy Pani Maynert, z uśmiechem na twarzy i z wypogodzonym czołem biegła do altanki, z której z zadowoleniem

przywoływała męża i Wilhelma, który wtedy dopiero, nie lękając się wrzasku praczek i łaiania głośnego mamy, wracał wraz z Ojcem do domu, uszczęśliwieni obydwaj, że już minęła ważna praca, którą dom cały w niezwyčajny wprawiała odmet. — Wilhelmek był jedynak, kończył lat 9, rodzice go bardzo kochali, i można było zaiste! kochać tak miłą istotkę... Wilhelmek miał oczki niebieskie śliczne, włosy blado blond jak len miękki, spadały mu w pierścieniach na szyję; głos jego, kiedy o co prosił, albo za kim się wstawiał, był tak czuły i słodki, że mu trudno było co odmówić; rzadko też bardzo się to trafiało żeby rodzice w czém mu się sprzeciwić zdołali: a Wilhelmek pomimo tak pieszczzonego wychowania, dalekim był od przywar, takie postępowanie zwyczajnie nadających. — Był on i owszem bogobojny, posłuszny i na swój wiek uczył się niezgorzėj; szkoła

dobrze urządzona w owém mieście dozwalała dzieciom fabrykantów tamiecznych kształcić zawczasu umysł i serce przy odbieraniu początkowych nauk; a Wilhelmek nigdy o lenistwo albo krnąbrność nie przyniósł oskarżającego znaku. — A więc ten Niemczyk był doskonały; Babuniu! rzekła szybko Karolcia. A kiedy on był dobry, a rodzice jego także byli i dobrzy i szczęśliwi przy swojej kawie i kręglach; zdaje mi się, że nie długo będzie o nich wszystkich powieść; szkoda! bo Dziadzia znowu uśnie, a my także spać pójdziemy.—Ależ cicho, Karolciu! nie dasz Babuni mówić, nudna dziewczynka jesteś, tak zganila Zosia gadatliwość siostrzyczki. A Pani Uszycka uśmiechnąwszy się dalej, mówiła niezważając niby na uwagę najmłodszej wnuczki. Opisawszy zalety młodego Wilhelma i szczęśliwość jego lat dziecinnych; nie mówiłam wam, żeby mój mały chłopczyna

był doskonałym, i zaiste, wiele mu bardzo nietylko do doskonałości, ale nawet do celowania, przed innemi swego wieku dziećmi brakowało. Bo jakkolwiek młody Maynert miał dużo dobrych przymiotów, przywara równie szpecąca moralne jego zdolności, jak szkodliwa zdrowiu, niszczyła w nim wszelką do dobrego dążność, bo mu zawsze stawała na przeszkodzie, kiedy się chciał najlepiej sprawiać, albo Mamę i Tatę lub swoich nauczycieli, zadowolnić pragnął. Wilhelmek był niewymownie łakomy; ale to tak, jak sobie moje dzieci nawet wystawić nie możecie. — Nie przestawał on na tém, ażeby tak, jak ty teraz skrycie czynisz Anielko, wyciągać po jedném ziarneczku winogrona z koszyka i kłaść potajemnie do buzi (tu Anielka rączkę ściągnęła skwapliwie); albo tak jak ty Karolciu, co czasem weźmiesz na swój talerz parę makaroników więcej jak

Mama pozwoli (tu Karólcia pogroziła Babuni paluszką uśmiechając się). Ale nasz Niemczyk zabierał, kosztował i jadł pokryjmu wszystko co mu się tylko do jadła zdatném być wydawało.... Nadaremne były prośby i zakazy Matki, przestrogi a czasem i ukaranie Ojca, wyśmiewanie współ-uczniów, narzekanie służących; nic nie zdołało poprawić łakomce. Najadłszy się u stołu do woli, biegł do kuchni i tam reszty z talerzy zlizywał; żaden owoc, nawet nie-dojrzały, nie uszedł jego ręki, kieszenie jego pełne były różnych zielonych fruktów, ciast i serdelków, które nigdy nie omieszkiał kupić, kiedy tylko woreczek jego dozwolił mu ich nabycia. Możecie sobie wystawić, jak często Wilhelm na niestrawność chorował, i ile razy biedną swą Matkę w kłopot wprowadzał o swoje zdrowie. Raz nawet już powątpiewano o jego życiu, a to przez przypadek, który mógł być mieć okropne

skutki. — Pan Maynert miał dostawić pewną ilość sukna jakiegoś niepospolitego koloru; potrzeba mu było skutecznie pewną mieszaninę farb, do których wchodził i cukier; nasz łakomca widział, że kilka głów cukru niesiono do miejsca, gdzie farby gotowano; zakradł się tam potajemnie, widział że Ojciec i kilku czeladników miesza-
li znaczną ilość cukrowego syropu, z jakimiś proszkami różnego koloru; sądził, że to były konfitury, których smak koniecznie zakosztować pragnął. Pan Maynert wyszedł i zamknął Wilhelma na klucz, niewiedząc że on się tam znajduje. A nieszczęśliwy chłopczyzna jak przysunął się do mniemanych konfitur i zaczął kosztować i chodzić od jednej do drugiej miski, napelnionej cukrem i farbą, takich dostał mdłości i wymiotów, że go na wpół żywego zamtąd wydobyto; a stroskana Matka po całym domu i u sąsiadów go szukająca, z trudno-

ścią w tak niebezpieczném swego łakomego synka wynalazła zamknięciu... Długo Wilhelmek pokutował za swoje bezprzykładne łakomstwo: musiał w łóżku leżeć, brzydkie lekarstwa zażywać, a później nawet dla zupełnego wyprowadzenia jadu, kąpiele mocne brać i pić wody mineralne. Rok prawie cały trwała jego choroba, biedni rodzice dużo pieniędzy na niego wydać musieli. Ojciec nie mógł już tak pilnie doglądać swojej fabryki, Matka zaniechała rządu domu, zachwiał się dobry byt tych zacnych i pracowitych ludzi; bo u fabrykantów czas jest wyrachowany, codzienna pilność i dogłądanie robót przez właściciela rękodzielni koniecznie potrzebny dla nadania jej przyzwoitego ruchu, a wyrobom dostatecznego odbytu. Pan Maynert rzadko kiedy zdołał odejść od łóżka ukochanego dziecięcia, a choć nawet niekiedy wrócił do pracy, zawsze miał na pamięci niebezpieczny

stan syna, i rozpaczający wyraz twarzy swej żony. O naukach ani myśleć nie można było, bo Wilhelm po przyjściu do zdrowia, miał tak osłabione siły, tak był utracił przytomność umysłu i pamięć, że minął rok drugi, nim się do szkoły wrócić zdołał. Tam go spotykały szyderskie pożałowania współ-uczniów, które mu niezmiernie przykre były; swawolni chłopcy nazwali go cukierniczkiem, i skoro się tylko pokazał, zaraz się pytali po czemu konfitury, śmiejąc się z niego niełitościwie; bo łakomiec ma jeszcze to w zysku, że się nikt nad nim nie użala. A więc prócz rodziców nikt nie żałował Wilhelma, a szyderstwo rówienników tyle go martwiło, że oprócz szkoły, gdzie ich widywać musiał, z żadnym się i bawić nie chciał. Wróciły się po woli jego siły zupełnie i począł pracować szczerze, ażeby czas stracony przez dwa lata choroby i osłabienia odzyskać; ale, niestety! łakom-

stwa nie zdołał z siebie wykorzenieć, nawet przez tak okropne skutki jego. Trzeba było jeszcze silniejszej nauki, ażeby zupełnie od tak szkodliwej przywary został uwolniony; a ta dana mu została wcale niespodzianym przypadkiem. Pewnego dnia siedział Wilhelmek w ulubionej Ojca altance, i uczył się z pilnością tych lekcyj, które już dawno byłby umiał, gdyby nie choroba, przez nie-szczęsną przywarę zrządzona. Uczył się, ale jednak często główkę ku drzwiom zwracał, bo właśnie dnia tego Ojciec spodziewał się dwóch kupców z Rosyi, wiodących handel z Chinami; i zalecił żonie, ażeby dla nich w altance dobre przyrządziła śniadanie. Pani Maynert łączyła zawsze w swojém postępowaniu gościnność Polską z Niemiecką akuratnością; ponakładała więc sama talerze z marynatami, pół-gąskami i wędzonym łosiem, dodając do nich przedniej Gdańskiej wódki w kilku gatun-

kach, i Toruńskiego piernika; te wszystkie smaczne zakąski kazała za sobą przynieść do altanki, i rozpostarłszy na stole karmazynową jedwabną serwetę w duże białe kwiaty, symetrycznie je na niej poustawiała. Cóż to za pokusa dla naszego małego łakomca! Nie zajmuje go już odtąd lekcyja, uwija się około stołu. Skoro Matka weszła, błaga o kawałeczek pierniczka albo pół-gąska, z najmiłszym uśmiechem, pokusił się nawet sprzątać sam ze stołu listeczek wędliny; ale tak go pilnują, że poprzestać musi na kawałku chleba z masłem, bo surowe i zimne potrawy ostro przez doktora zakazane mu były.—Pani Maynert wyszła z altanki, uprowadziwszy z niej Wilhelmka, zamknęła ją na klucz przed nim, póki goście nie przybyli. Ci się zeszli niebawnie i zaczęli z sobą rozmawiać o swoich interesach handlowych, zjadłszy i pochwaliwszy smaczne śniadanie w pochlebnych dla go-

spodyni wyrazach. Wszystko jeszcze stało na stole, a że altanka była otwarta, wszedł znowu do niej Wilhelmek cichaczem i smutno na te talerze spoglądał, na których jeszcze reszty śniadania pozostały. Przybliżył się nakoniec do okna, z którego daleki widok na lasy, jeziora i pola, szeroką bitą drogą przecięte, zajmujące przedstawiały obraz. Młody Maynert oparł się na oknie przysłuchując się smutnej pieśni młodego ubogiego żebrzącego pod oknem. Był to chłopak blady, nędzny, łachmanami okryty; a że w owym miasteczku, kwitnącém pracowitością mieszkańców, rzadko bardzo zdarzył się włóczęga i próżnujący człowiek; widok ten był równie nowy jak przykry dla dobrego serca chłopczyny. Pierwsza jego myśl była obwinąć kilka groszy w papierek i spuścić je przez okno, druga zaś, lubo zawsze z dobrego serca pochodząca, jednak skrytą dążność do łakomstwa wskazująca, nastre-

czyła mu domniemanie, że ów żebrak może być głodny i że dobrze będzie dać mu kawał marynaty i chleba, do pieniężnego zasilku; prosił po cichu ojca o pozwolenie, uzyskał takowe i wraz z młodą Niemką, która w domu służyła, zszedł na dół do ubogiego; żebrak uklonił się nisko odbierając chleb i pieniądze, ale na widok podawanéj mu przez służącą marynaty, tak zbladł i zadrżał okropnie, że się biedny Wilhelmek nie mało zadziwił i przeląkł, a tém więcej kiedy ujrzał ubogiego padającego na ziemię w okropnych konwulsjach pieniężnego i rzucającego się straszliwie. Służąca i Wilhelm krzyknęli przeraźliwie, zbiegli się domownicy, uprowadzili rodzice swojego syna; a żebrak został umieszczony w miejskim szpitalu, gdzie Państwo Maynert, równie litościwi oboje, przyrzekli sobie mieć o nim największe staranie. Doktor, który leczył Wilhelmkę w chorobie, był także przełożo-

ny nad szpitalem w którym długo bardzo leżał ubogi Michalek; Pani Maynert nie dozwalała ukochanemu jednynkowi widywać swego ubogiego, jak go nazywał, lękając się dla niego wpływu złego powietrza; ale skoro przyszedł do zdrowia, wzięto go do fabryki i umieszczono pomiędzy czeladzią.— Ten chłopiec miał serce wdzięczne i rozsądek na stan i wiek niepospolity; starał się więc odwdzięczać wszystkimi w jego mocy będącemi sposobami, za łaski w domu dobrych państwa Maynertów doświadczane. Kiedy w niedziele i święta czeladź cała rozbiegła się po sąsiedzkich karczmach, albo dążyła na przechadzki w lasy pobliskie, Michalek pomagał Pani Maynert i służącój w domowych zatrudnieniach, usługiwał do stołu kiedy byli goście, zmywał, sprzątał i zawsze był gotów na rozkazy Państwa i Wilhelma; jeden tylko sobie wyraźnie zawarował przypadek, to jest: żeby mu

nie przyszło usługiwać wtedy, kiedy były podawane marynaty albo wędliny, bo nie ręczył za siebie, czyby wstręt, który mutakowe sprawowały, nie mógł mieć i dla niego i dla przytomnych nieprzyjemnych skutków; miewał on albowiem rzeczywiście napady wielkiej choroby, ale tylko wtedy kiedy te obmierzłe potrawy zobaczył. — Michalek dowiedział się wkrótce od służących, że Wilhelm nie był z przywary swojej uleczony, i że się rodzice zawsze strzedz muszą, najmniejszą rzecz do jedzenia w jego przytomności zostawić; gdyż on się nie wzdrygał bynajmniej kosztować nawet rzeczy niezdrowe, byleby tylko miały pozór dogodzenia jego nieszczęśliwemu łakomstwu. — Poczciwy chłopiec przedsięwziął uwolnić młodego swego dobroczyńcę, od tak niebezpiecznej wady. A przyszedłszy razu jednego do Pani Maynert, prosił ją ażeby mu wolno było opowiedzieć Wilhelmkowi

w przytomności rodziców przyczynę jego wstępu do marynaty; zezwolono na to. Pan Maynert i doktor który dawno pragnął dowiedzieć się o tém także, zeszli się do altanki gdzie szczególne swe zdarzenia miał im opowiedzieć Michałek. Wilhelm zwabiony talerzem biskoptów, siedział i słuchał spokojnie, mając obiecany dobry z nich podwieczorek; ale im dłużej mówił Michałek, tem bardziej wzrastała ciekawość naszego łakomca, a przy końcu nie trzeba było i biskoptów, ażeby całą jego zająć uwagę. (*) — Urodziłem się w Warszawie, Matka moja i Ojciec byli wyrobnikami; było nas w domu sześćoro rodzeństwa, a głód i nędza bardzo

(*) Wiarogodna osoba opowiadała mi to zdarzenie; nie jest zmyśłone; przytrafić się miało doktorowi C... tyle u nas wslawionemu. Zapytany o opowiadającą mi to osobę, czyli miał dzieci? odpowiedział: miałem córeczkę, ale mi ją kominiarze zjedli i wytłómaczył to, tymże samym co ja opisuję sposobem.

nam dokuczały, udało się jednak Ojcu umieścić braci starszych za chłopców to w aptece, to u ślusarza, siostry żebrały pod kolumnami po sklepach, a ja najmłodszy pilnowałem w domu garnuszką z kaszą, albo z kartoflami, który był całym naszym przez dzień posiłkiem, a do którego rzadko kiedy dostawaliśmy po kawałku chleba. Kiedy mnie tak zostawiono samego w domu przy owym garnku, kosztowałem raz po raz, to co w nim było, i nim nadeszli rodzeństwo, często go już do połowy wypróżniłem; wtedy Matka biła mnie różgą, Ojciec kijem, a siostrzyczki nieoszczędzały wrzasku i wymyślania na brzydkiego żarłoka, jak mnie nazywały; ale ja nazajutrz toż samo czyniłem, niepomnąc ani na krzyk siostr, ani na bicie rodziców; bom był i głodny i łakomy, a pokusa była za wielka na mój wiek dziecinny; zaprawiwszy się na domowym garnuszkę, robiłem z wie-

kiem znaczne postępy w łakomstwie; przekupki blisko nas stragany mające skarżyły się często, że im to bułeczki, to jabłka, to gruszki, niewiedzieć gdzie się podziwwały, a nie spodziewały się nigdy, że małeńki sześćo-letni chłopczyna, tak się zręcznie wprawił do sprząwania onych, i że wkradając się to pod stół, to za okrycie z desek, to czasem i na wierzch wlażąc, upatrywał chwilę dogodną, i w mgnieniu oka porwał co się nadarzyło, ukrywał zręcznie swą zdobycz i wracał do domu, zaczęm dostrzeżono ubytku na straganie... Nieodbierając żadnego wychowania, nie wiedziałem wcale o tém, że to grzech jest kraść owoc; i owszem Ojciec i Matka często nam mówili, że to wziąć co jest do jedzenia, nie jest grzechem, kiedy się jeść chce. Mnie bardzo ta nauka do smaku przypadła, a zamiast jednej gruszki lub bułki, wziąłem wtedy kiedyś to słyshał dwie lub trzy i zajada-

łem je w kąciku, albo jak wszyscy na robotę wyszli. — Dostrzegły nakoniec nasze sąsiadki, że to ja sprzątam ich owoce ze straganów; wybiły mnie nieraz, nic to nie pomogło; wytoczyła się sprawa do Ojca, bo mnie na uczynku złapano i całą kielbasę z kieszeni wyciągnięto..... Nie powiem wam kochani Państwo, ile wtedy plag dostałem, bo byście nad biednym dzieckiem płakać musieli. Ale mnie to nie poprawiło, bo niemając nic do czynienia w domu, nie będąc strzeżony ani doglądany przez nikogo, miałem wszelką sposobność do złego, a żadnej chęci poprawienia się; myślałem tylko nad tém, jakby ukryć najzręczniej moje kradzieże. Byłem bardzo szczupły i zwinny, wdrapałem się nieraz wysoko i przepatrywałem śpiżarnie zwykle po górach domów będące, wlażyłem przez otwarte okienka i tam dopiero hulałem sobie; bo nieraz i ćwiarteczka cieleciny i okrasy pas nie-

mały i sérek wyśmienity zdobyłem, a szczury i koty obwiniano częstokroć o to, co było dziełem niegodziwego Michałka.... Tak szkaradne sprawowanie się byłoby mnie bez wątpienia, nie tylko na łakomca, ale na złodzieja, a może i na mordercę wykształciło, gdyby mnie był Ojciec dłużej w domu trzymał. Mieliliśmy właśnie w sąsiedztwie poczciwego majstra kominiarza, który nieraz widział, jak ja zręcznie po dachach i rynnach biegałem; jak się wciśkałem w najwęższe szpary, jak umiałem się spuszczać ze schodów po krawędzi; zręczność moja doskonałego obiecywała kominiarczyka; ofiarował sąsiad memu Ojcu wziąć mnie na naukę; Ojciec się nie drożył ze mną, majster mnie żywić i okrywać obiecał; siostra starsza objęła po mnie obowiązek gotowania objadu, a ja dostałem się przecie do porządnego domu. Niewiem wiele wtedy lat miałem, ale byłem je-

szcze mały, a przykłady, które mi tam dawano, jeżeli nie wszystkie to przynajmniej niektóre moje wady wykorzenić potrafiły.... Pani majstrowa miała o nas staranie, uczyła pacierza i katechizmu, sporządzała naszą odzież i napominając surowo, wypraszała często od surowszój jeszcze męża kary. Ale lubo się tam stałem obyczajniejszym, łakomstwo moje nie zmiejszyło się jednak, chociaż w domu nie miałem mu czém dogodzić, żywiłem się jak mogłem; a to co sprzątałem, skrycie ukrywałem przed wszystkiemi. Zwinność moja w naszym rzemiośle wyniosła mnie wkrótce do stopnia pierwszego czeladnika; majster kazał mi najtrudniejsze wycierać zakątki pozałamywanych kominów; wszędzie dotarłem; najwyższy i najwęższy luft był tylko dla mnie igraszką; a tam gdzie się inni wsunąć nie ważyli, ja śpiewałem sobie swobodnie przy chręście moich miotełek. Otwarte

więc miałem pole zostać majstrem kominiarskim kiedyś, możebym się nawet był z córką mego pryncypała ożenił, i na siebie mógł już pracować, ale cóż! kiedy moje przekłete łakomstwo całą tę przyszłość zniweczyło, a to takim sposobem. — Zawołano nas dnia pewnego do jednej z kamienic starego miasta, w której kominy z dawnych prostopadłych na terazniejsze poprzestaczane, tak były do wycierania trudne, a osobliwie jeden z nich, że moi kolledzy we mnie jedynie pokładali nadzieję ich oczyszczenia; wlażłem na dach, rozpoznałem całą trudność roboty i szczęśliwie ją dokonałem; a skończywszy pracę spuściłem się powoli kominem otwartym i wszedłem do pięknego pokoju. Ładne tam były malowania i rozmaite wcale mi nieznane rzeczy; byłem sam jeden, jakaś nieszczęśliwa pokusa nastęrczyła mi chęć poszukania tam czego do jedzenia, bo łakomstwo

nad wszystko zawsze mną władało; widzę na stole dużą fajansową miskę, a w niej gatunek jakiejś marynaty korzeniami zaprawnej, wydającej zapach mocny a dla mnie przyjemny, bo mi coś dotąd nieznanego kosztować nastęczała; nosilem zawsze nożyk przy sobie, kraję więc, płatam nieznaną potrawę i połykam chciwie niezastawiając się nad jej smakiem; żal mi zostawić reszty, wydaję z miski i pakuję do małego woreczka, który na plecach miałem. Jak tylko miskę wypróbowałem chciałem uciekać co żywo tą samą drogą com przyszedł; aż tu drzwi kryte niedaleko komina otwierają się i wchodzi niemi jakiś Pan stary w szlafroku, za nim młody człowiek niosący na desce głowę dziecięcia nabalsamowaną i doskonale do długiego przetrwania usposobioną; okropny dreszcz przebiegł mnie na ten widok.... Pan cofnął się, jak zobaczył moją czarną postać i

zawołał na mnie z gniewem zepsutą polszczyzną: Co ty tu robisz niecnoto? zkad przyszedłeś? po co tu stoisz? Ja chciałem zemknąć szybko i już się w komin wsuwałem, kiedy ów młody człowiek zawołał, wskazując na misę: Pannie doktorze! nasz preparat gdzieś się podział a ten chłopiec ma pełną gębę jakiegoś jadła. — O Jezu Marya! krzyknął doktor? ten łajdak zjadł Pannę Hrabiankę! co ja Ojcu powiem?... Na te okropne słowa upadłem zaraz bez zmysłów w kominie; doktor i cyruliczek niewiele się mną zajęli, ale widząc mój woreczek czemsiś napelniony, otworzyli go i wyjęli z niego reszty mego obrzydłego śniadania; a pierwsza rzecz którą zobaczyłem, przyszedłszy do siebie, była to ręka i noga owego umarłego dziecka, z worka wyciągnięte, których w prędkości nie widziałem wcale kiedy worek napelniał. Na ten widok i doktor i cerulik bardzo się desperowa-

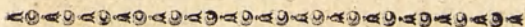
li, powtarzając nazwajem: ten hultaj zjadł Pannę Hrabiankę. O Boże! jak my to Ojcu powiemy... Tyle pieniędzy straconych. Zacząłem drzeć i krztusić się okropnie; natura sama sobie ulżyła; ale wrażenie, które ten, fatalny przypadek na mnie sprawił, tak było okropne, że zaraz dostał konwulsyi, które potem w istotne napady wielkiej choroby się wykształciły, lubo po długiej słabości odzyskałem cokolwiek zdrowia. Doktór, w którego domu tak straszne go lekarstwa przeciw łakomstwu doświadczyłem, był to Włoch, sławny anatomista, który posiadając sekret balsamowania ciał umarłych doskonale, miał zlecenie od bogatego Pana jakiegoś, ażeby mu córeczkę jego niedawno zmarłą od zepsucia zachował. — Niewiem jak on się z tego wypadku wytlómaczył, bom nadto był i długo i mocno chory, ażeby się mógł o to dopyty-

wać. — To tylko dodam do końca mo-
jéj historyi, że moi koledzy dowiedzia-
wszy się o moim przypadku, bali się
mnie i stronili od obżartucha, (tak mnie
odtąd nazywano) jak od jakiego po-
tworu. — Znikły wszelkie nadzieje po-
lepszenia sobie losu. Kominiarczanka u-
ciekała odemnie jak od widma jakiego;
sam majster był zmuszony oddalić mnie
a niespodziewając się od swoich nicze-
go, porzuciłem Warszawę i blakając
się i żebrząc przyszedłem aż tutaj, gdzie
na widok obmierzłej marynaty dosta-
łem nowego napadu choroby, od której
sądziłem się już być wolnym od da-
wna. Dobrodziejstwa wasze dały mi
sposób do życia, a tak straszne doświad-
czenie na zawsze uleczyło mnie od
szkodliwego nałogu. Wolę nic nie iść
i dzień cały, jak jakie jedzenie, gdzie-
kolwiek postawione zakosztować i spo-
dziewam się przetrwać w tém chwale-

bnem postanowieniu przez całe życie moje. — Babuniu! Babuniu! zawołały dzieci, a Niemczyk co na to? spodziewamy się że i on stracił chęć kosztowania pół-gąsków pokryjomu. — Dziwna to powieść Babuniu, rzekła Zosia, jak to dobrze że te panienki, wskazując na siostry, na cukierkach i łakotkach poprzestają, ale Staś lubi półgąski, będziem go zawsze prześladować kominiarskiem śniadaniem jak za wiele iść będzie, nieprawdaż? Niemczyk odrzekła Babunia, słuchał z pilnością powieści Michałka, rodzice i doktor uważali że na nim wielkie zrobiła wrażenie; i w istocie tak się od czasu tego poprawił, że Państwo Maynert czuli się być winni biednemu Michałkowi, więcej jeszcze wdzięczności, za daną synowi naukę jak on jój był winien ich domowi za wyświadczone mu łaski. — Wilhelm zupełnie odzwyczajony od tak szpe-

tnego nałogu, urosł, korzystał z dobrego wychowania i jest teraz kupczykiem w jednym z pierwszych sklepów w Warszawie. — Co też WMCPani wymyśliłaś, moja siostruniu, dla bawienia tych dzieci, za niesmaczną bajeczkę! pfe, moja Pani! aż mi się mdło robi; tak mówił Pan Sędzia budząc się, gdy Pani Uszycka umilkła, bo drzymał staruszek cały wieczór i na końcu dopiero historyi Michałka, zasłyszał ostatnie jej szczegóły. — Niech się Dziadzia nie gniewa, zawołała Zosia; jutro nie będzie nic takiego na śniadanie co by mogło przypomnieć przygodę Michałka; myśmy się bardzo tą powieścią zajęli, a lubo nie tak wesoła jak poprzednie, dziękujemy bardzo dobrej Babuni, że nam nietylko ulubione od losu dzieci przedstawia, ale że nas wiezie i tam, gdzie nędza i pomroka niewiadomości panują. Bo porównywając nasz los z

iosem tych nieszczęśliwych, dziękujemy codziennie Bogu za postawienie nas w tak błogim życia okręgu, gdzie i ze starań rodziców korzystać i z przyjemności położenia naszego cieszyć się możemy.



ELZUSIA.

Powieść czwarta Babuni.



Już śnieg zaprószył i obieleł wszystkie ulice Warszawy, odzywały się po nich szumnie dzwonki licznych sankarzy; małe dzieci już wcale nie wychodziły na przechadzki, bo im wiatr mroźny groził kaszlem lub katarzem, starsze tylko przy pięknej pogodzie przechodziły się po ogrodzie Saskim; ale tém zabawniej i miliej było w domu dla dobrych i grzecznych dzieci; zjeżdżali się na zimę do miasta ci krewni i przyjaciele ich rodziców, którzy tylko tę

smutną porę roku w stolicy przepędzać zwykli; układano wieczory i bale, niezapominając o dziecinnych balikach; które tak przyjemną i inn, i starszym osobom sprawiają zabawę. Obchodzono uroczyście dnie, jakiej rodzinnej pamiętce poświęcone, święta zimowe, Nowy Rok, Trzy Króle zgromadzały do rodzinnego domu i pilnie uczących się studentów, i na pensyi zostające panienki, i tych którzy pozbawieni rodziców i majątku, z dobroczynnej ręki wspomniałych opiekunów wychowanie odbierali.... Pełno było po pokojach śmiechu, biegania, żartów i igraszek; wymyślali nowe gry, pokazywali sobie nawzajem zabawki i lalki, od przybyłych ciociów i wujaszków im dane; słowem, zima lubo pozbawiona kwiatów i ciepłego słońca, zieloności i owoców, i tak niemało nastroczała chwil przyjemnych, dla was lubie dzieci. Te

wszystkie uciechy w domu Państwa Złotomskich bywały podwojone za przybyciem Babuni. Staś i Zosia, nie dali się nikomu uprzedzić w przygotowaniu tego wszystkiego, co miało Babuni mieszkanie przyjemném i wesołym uczynić. Salonik mały, ale ładnie urządzony, pokój sypialny ciepły, i od ulicznego wrzasku daleki, były już zupełnie na jej przyjazd gotowe; pulki do książek poprzybijane, stolik do pisania różnemi drobiazgami ozdobiony, wszystko to czekało Babuni.... A bardzo niecierpliwie oczekiwały na nią dziateczki, które ona tak kochała.... Co za niespokojność, za każdą pocztą; może słaba, może nie przyjedzie, może się mrozu złęknie, spóźni się i na święta do nas nie zdąży. — Takie były ustawiczne przedmioty niespokojności wnucząt; którym nareszcie położył koniec pożądaný przyjazd Pani Uszyckiej. Kare-

ta pakowna na saniach wjeżdża na kilka dni przed Bożém Narodzeniem do bramy domu Państwa Złotomskich; Zosia, Anielka, Karolcia, poznają z daleka powóz dobrej Babuni... Staś był w klassie, ale Hipolitek trzepie rączkami, i chce koniecznie ażeby go za siostrami, które szybko zbiegły, zaniesiono na schody. Prowadzą Babunię z krzykiem na górę, Zosia odwiązuje kapturek z głowy, Anielka odbiera podróżny woreczek, a Karolcia wynosi ulubionego pieska z karety; obstępują potem kochaną Babunię, prowadzą do jęj pokojów ażeby wypoczęła; znoszą wszystko to coby pokrzepić albo jęj spoczynek po drodze sprawić mogło; Pani Uszycka doznaje w tęg chwili jak jest miło być otoczoną kochającemi nas istotami... A nim jeszcze jęj przyjdzie uściskać córkę, (nieobecną na ówczas w domu) już cały urok rodzinnych związków i czu-

łych zabiegów dziecinnego przywiązania, otacza ją, i uszczęśliwia. Jakże to słodko przy schyłku życia poświęconego wypełnianiu często trudnych obowiązków, jakże to jest słodko, mówię, znaleźć w gronie rodziny, tak szczere tak uprzejme przyjęcie. Oby nam wszystkim pozwoliła kiedy łaskawa Opatrzność doznać takowej szczęśliwości; jakżeby łatwo było wtedy zapomnieć o cierpieniach przeszłych, ciesząc się obecnością tych, których stratę tak gorzko nam oplakiwać przychodzi..... Ale wybaczcie lube dziatki, zapomniałam w tém smutném pogrążona dumaniu, że was bawić, a nie zasmucać obiecałam. Przybyła więc Babunia; z nią różne ładne dla dzieci, na zimę ubiory: dla małych zabawki; dla Zosi balowe sukienki, bukiety z kwiatów i modne fraszki; Staś dostał zbiór zupełny dzieł, których jeszcze w jego małym księgo-zbiorze nie dostawało; Hipolitek cieszył się także no-

wym konikiem. — Ale tak było wiele przyjaciół odwiedzających Babunię; tyle się starała Pani Złotomska i mąż jej uprzyjemnić pobyt dobrej Matki w ich domu, że ani myśleć można było o czwartej powieści. Babunia lubiła bardzo towarzystwo, bywała na teatrze, czasem nawet można ją było na prośzony wieczór namówić; sypiała dłużej jak w Krajominie; kiedyż więc można ją było tak zastać wolną, żeby jej przypomnieć obietnicy wykonanie, a tu koniec zapust się zbliżał; a wkrótce potem miał nastąpić wyjazd drogiej Babuni. — Często więc bardzo rozmawiały dzieci między sobą, o tak ważnym przedmiocie. Staś nie radził naprzykrzać się Babuni; Zosia zaś utrzymywała, że przypomnienie zupełne o powieści, da jej powód do sądzenia, że im się poprzednie nie podobają; Karolcia i Anielka wołały codzień na starszych, ażeby przypomnieli Babuni, czy tam nie wie co znowu o

jakim kominiarczyku, albo Niemczyku z niebieskimi oczkami, ale same nie śmiały o tém zacząć; bo Babunia codzień ubrana pięknie, gości przyjmująca, i wraz z córką zawsze w salonie obecna, zdawała im się być nadto obcemi osobami zatrudniona, ażeby się dziećmi zajmować chciała. — Nie uchodziły te wszystkie zabiegi pilnego oka Pani Uszyckiej; już ona sobie była w Krajominie przygotowała powieść, różniącą się w swój osnowie zupełnie od poprzednich; ale nie znalazła jeszcze była dotąd stosownej chwili, do dania lubym działkom, nowój lubo zawsze przyjemnej nauki. — Przy końcu zapust mówiono wiele o baliku dzieciom, na którym miały być kadryle z dzieci przebranych w różne ubiory obcych narodów; Staś i Zosia należeli do tych kadrylów, dwie młodsze jeszcze niebardzo dobrze tańczące, miały tylko w zwyczajnym ubiorze towarzyszyć star-

szym; Hipolitek zaś, tłusty i żwawy chłopczyzna, za bachusa przebrany, miał siedząc na beczce i o'oczony gronem przybranych w ubiory orszakowego dzieci, wjazd swój uroczyście do salonu uczynić. Pani Złotomska mocno się zajmowała strojeniem swych dzieci na ten wieczór, ale nim jeszcze nastąpił, wypadło Panu Złotomskiemu dać u siebie obiad, na którym znakomite osoby znajdować się miały; Babunia wyprosiła się od tak świetnej, a może cokolwiek na jej wiek i zdrowie przykrój uczty; została więc u siebie; dzieci zaprosiła na swój obiad, obiecując sobie wesoło z niemi czas przepędzić. Po skończonym objedzie sama Pani Uszycka wspomniała o nowój powieści. — A widzisz Zosiu, zawołała Anielka, nie mówiłam ci, że Babunia ma dla nas coś lepszego jeszcze, jak sukienki i lalki; mnie zawsze wierzyć trzeba, dodała, prostując się poważnie, i udając w krzesło się

poprawiającą Babunię. — A mnie czy nie trzeba słuchać przerwała Karolcia, czy ja nie prosiłam was zawsze o to, żebyście przypomnieli o bajeczce jakiej. Babuniu, Babuniu! czy to będzie stolarczyk, czy znowu kominiarczyk, czy jaka Antosia, czy Oleś na koniku po polu biegający? Wcale inną przygodę, wam dzisiaj opowiem, moje kochane dziatki; często was Mama uczy, że w każdej życia dobie do okoliczności stosować się należy, a że teraz jesteśmy w mieście, w pośród zabaw i zapust, ja wam opowiem naukę, którą odebrała panienka w tym wieku, co ty Anielko, wtedy kiedy ja waszą Mamę wozłam na dziecinne baliki, tak jak ona was teraz na nie wozi. — Była to także zima bardzo wesółą; Pani Tomszycka, przyjaciółka nasza, niezmiernie wtedy była zajęta pięknością swojej małej Elżusi; pieściła ją tak, jak się pieści jedyne dziecko kiedy się na skutki nierozsądnych nie-

zwała pieszczot. Od najmłodszych lat swoich Elżusia słyszała bezustanku powtarzane wszystkimi językami, które mi u nas w salonach mówią, te słowa: jakże ładna; a będąc z Matką w szóstym roku swoim u wód w Szląsku, nauczyła się z łatwością po niemiecku, bo jej się to bardzo podobało, że na spacerze i u źródła gdzie ją Matka czasem brała, wszyscy się zastanawiali mówiąc: *das ist ein sehr hübsches Kind*. Elżusia więc od najpierwszej pory życia była niewymownie próżną; i ta wada ćmiła wszystkie jej przymioty; bo ona miała przytém i dobre serce i łatwe do nauki pojęcie. Ale, cóż z tego, kiedy nieszczęsna chęć zajmowania wszystkich swoją pięknnością, nie dozwalała jej się do niczego szczerze przykładać, w żadnej nauce postępów robić nie miała czasu, bo zwierciadło było jej najmiłą zabawą; a gdybyście byli widzieli z jakim zadowoleniem uśmiechała się patrząc

na siebie, rzeklibyście, drogie dzieci, że zbiór wszelkich doskonałości w sobie upatruje. — Możecie więc sobie wystawić, co za zabiegi, co za starania, co za wydatki ponosiła Pani Tomszycka, kiedy jęj córeczka doszła do tego wieku, gdzie ją z innemi rówienniczkami swemi, na baliki dziecinne wozić mogła; już téż wtedy ani ochmistrzyni ani metr żaden nie mógł doysć ładu z panienką, która przy niczém niepohamowanėj żądzy podobania się, nawykła do lenistwa i do mrukliwego odpowiadania osobom, do jęj wychowania należącym. Pani Tomszycka niewiele zważała na wady, w charakterze jęj córki tak znaczną odmianę sprawujące; bo moje dziatki, nie każda Mama jest do waszėj podobną; mało znajdziecie takich, co tak jak moja córka nie spuszcza ją swych dziattek nigdy z oka, wyjąwszy wtedy kiedy je osobom, zupełnie godnym swego zaufania powierzyć mogą. Mama Elżusi

jeszcze powabna i młoda, a przytém majątna wdowa lubiła się bawić, tańcować i stroić; nie było w tém zaiste nic złego; bo w towarzystwie wyższego rzędu, urozmaicać zabawą życia swego chwile, niekiedy się powinnością staje; ale jak w tém tak i we wszystkich innych stosunkach towarzyskich, przyswoić zachować miarę, i obowiązki rzeczywiście użyteczne przekładać zawsze nad te, które z przyjemnych stosunków wynikać mogą, jestto prawdziwie zadosyć czynić swemu powołaniu. Córeczka więc, wstępując w ślady Mamuni, lubiła jeszcze bardziej jak ona zabawy, stroje i tańce; a lubo dopiero jedenastoletnią panienska, wzdychała tylko do owego czasu, gdzieby jój chwile tak jak chwile życia jój Matki, różnością tylko uciech odznaczone być miały; a nie wiedziała o tém nieboraczka, że nim się do zabaw światowych zdolnemi stać możemy, trzeba się przykładać

do wykształcenia, jeżeli nie serca, to przynajmniej umysłu swego, bez czego nawet próżność wymaganego hołdu odbierać nie będzie. — Przy końcu owéj przyjemnéj pory roku w okazałe zabawy obfitującej, odwiedził Warszawę gość dostojny, na którego godne przyjęcie ubiegały się wszelkiego stanu osoby; wyczerpano wkrótce wszystko co tylko wytworna i obfita wyobraźnia tych, których serca on tak istotnie zniewalać umiał nastroczyć im mogła, do uprzyjemnienia i uświetnienia jego w naszej stolicy pobytu; pozostała jeszcze zabawa dziecinna, do której on sam myśl pierwszą nastroczył, gdy odwiedzał księżną S. i zastał tam grono pięknych dzieci; oświadczył że baliki dziecinne powinny być nader zajmujące w Warszawie, gdzie te ładne istoty, tak staranne wychowanie odbierać się zdają i tak ujmującą powierzchowność okazują. Zniewolona temi słowy księżna prosiła

znakomitego gościa o wyznaczenie dnia; gdzieby mu dzieci także hołd swój oddać mogły, i równie jak ich rodzice obchodzić świetnie jego pierwsze do Warszawy przybycie. Skoro tylko dzień ten został oznaczony, wszystkie Matki więcej nierównie nim były zajęte, jak temi które go poprzedzały, pomimo ich świetności. Salon xiężnej przybrał postać do okoliczności stosowną i tak powabną, jak rój aniołków, które w nim płasć miały. Draperye białe zdobiły ściany i okna podpinane bukietami z róż; zielone upłoty z liści pomarańczowych otaczały marmurowe kolumny; świeczniki i lampy były wszystkie gazą białą okryte, i tak mile wydawały światło, że tylko uroczne promienie xiężyca przyjemniejsze przedstawiać mogły. Miejsca do spoczynku w pośród kwiatów i drzew pomarańczowych urządzone były; a posadzka na wzór Angielskich bałów, pięknym pędzlem gustownie ma-

lowana, została przeistoczona w śliczną murawę, otoczoną bukietami z najwytworniejszych kwiatów. W takim to czarującym miejscu chciała zgromadzić siężna wszystkie dzieci, które przez swoją piękność, doskonałość tańca i przyjemną postać mogły uzupełnić okazłość tej zabawy; i ażeby przytém coś zabawniejszego jeszcze utworzyć, wszystkie dzieci miały być przebrane w ubiory rozmaitych narodów i czasów, i to było właśnie, co zajmowało tak wyłącznie wszystkie Matki. Bo nietylko że się wysilały na wytworne koncepta w ubiorach, ale chciały jeszcze zachować tajemnicę w swoich wynalazkach, ażeby każdego dziecka przebranie nietylko było gustowne i niepospolite, ale ile możności przez innych nie naśladowane. — Dom Pani Tomszyckiej przedstawiał w tak pamiętnej okoliczności obraz prawdziwego zaburzenia; ileż to w nim było niespokojności, nim bilet

zapraszający ją doszedł; ileż radości jak go odebrała; a nadewszystko ile kłopotu i trudów, jak przyszło wyszukiwać ubiór, któryby piękność Elżusi wystawiał, w najwłaściwszym i najbardziej odznaczającym się sposobie. Ani Pani Tomszycka, ani Elżusia, a tém bardziej otaczające je osoby nie miały chwili spokojnej, póki tak ważny przedmiot rozstrzygniętym nie został. Elżusia miała rysy twarzy regularne, włosy śliczne, wzrost na swój wiek okazały, powinna więc była przywdziać szaty królowy; Elżusia godna była berła i korony, a więc z pogardą odrzucono gazę, perły i kwiaty; a gronostaje, aksamit, lama i klejnoty okryły w téjże chwili gotowalnią Pani Tomszyckiej. Ona zaś sama z dwiema zręcznemi Pannami, zajęła się w największej tajemnicy, tą ważną czynnością, która wtedy i inne Matki wyższego towarzystwa zajmowała. — Nadszedł nakoniec dzień ten

pożądany; śliczna była Elżusia, w starożytnym królowy Jadwigi ubiorze; miała suknię ze złotej lamy, bogaty hawet drogiemi kamieniami szyty i haft na sukni z przodu z kolorowych kamieni do dołu coraz szerzej się rozchodzący; rękawki długie wąskie lamowe rozcinane z bufami z krepy białej na guziki brylantowe spięte; suknię zaś zwierzchnią aksamitną karmazynową, gronostajami oszytą, z rękawkami na wyloty zarzuconemi, które nie zasłaniały jednak jej giętkiej kibici; korona brylantowa zdobiła jęj czoło, a bogato złotem haftowany welon spadał na jęj ramiona wraz z dwoma kosami długich ciemnych włosów, kwiatami i wstążkami przeplatanych. Bogate naszyjniki i bransoletki, błyszczące kolczyki i pierścionki, aż nadto zbogacały jęj strój okazały! Była to doskonała miniatura królewskiej dziewicy; w chwili kiedy niewinna, młoda i piękna przybywa

wśród radości i blasku, objąć potężne Królestwo.... Cały dom obstał Elżusią, pochwały i zadziwienia okrzyki jak grad leciały z ust domowników; Matka jej zupełnie była zadowolniona; i z dumnym przekonaniem o podobaniu się swjej córki, weszła z nią do xiężnej. Ballik ów przedstawił w téj chwili widok nader ujmujący: coraz przybywały do salonu xiężnej jakby czarodziejską różczką sprowadzone mieszkańce rozmaitych krain. Tu dziewice z nad Wołgi z kołczanem na ramionach i łukiem w ręku, tam Peruwianki z pierzastą koroną na głowie; przy téj kolumnie siedzą dwie Dunki w szkarłatnej odzieży z czapeczkami w kształcie wieży na głowach, a koło nich Ukrainka w nadobnym ale szczególnym wieśniaczym ubiorze. Chinki przechadzają się z Kalabryjskimi dziewczętami, a grono Amorków z małych chłopczyków złożone, wszędzie się wciska, wszędzie się

miesza do żartów i śmiechu małych współ-towarzyszów swoich. Jedna tylko panienka nie miała kostiumu, była to siostrzenica Xieźnej, Basia D.... która nieskończywszy jeszcze żaloby po Ojcu, pierwszy raz dnia tego na balu się pokazała; była zupełnie biało ubrana, róża biała, przy grzebieniu przypięta ozdobiła jej głowę, a bukiet z róż białych stanowił całą ozdobę jej śnieżnej sukienki; ale Basia tak była skromną i miłą, że pomimo prostoty ubioru niewymownie się ładną wydawała.— Wejście Elżusi na bal nie zrobiło tak nadzwyczajnego wrażenia, jak to sobie obydwie z Matką obiecywały! Xieźna pochwaliła okazały ubiór i piękność Elżusi, dziękując Pani Tomszyckiej, że tak ładną ozdobą przyczyniła się do świetności jej balu; Basia pochwaliła także Elżusię, ale bez uniesienia, a to się jej wcale nie podobało. Usiadła koło Matki i odtąd jedynie tylko przybycia do-

stojnego gościa wyglądała; bo jęj główka zupełnie zawrócona okazałością królewskich ozdób, nie sądziła nikogo godnym jęj ręki do tańca, prócz tego o którym nie wątpiła ani chwili, że ją nad wszystkie dziewczynki przeniesie.—Zaczęto tańcować, bo znakomity Pan kazał oświadczyć, że spóźni swoje przybycie, a nie chce przeszkadzać ogólnej zabawie. — Elżusia odmawiała wszystkim chłopczykom, którzy w ubiorach majtków, postylionów, ogrodników albo pasterzy, ją do tańca zapraszali, oddalając ich od siebie z dumną obojętnością, a że na początku balu, żaden wytwornie ubrany rycerz, ani książę nie znajdował się w sali, siedziała nieporuszona koło swojej Mamy, ziewając niekiedy, ale nie nudząc się, póki każda nowo przybyła dama, oglądała i chwaliła jęj kostium okazały. — Już i to źródło przyjemności zostało wyczerpane dla naszej Elżusi, wszyscy się zje-

chali, nikt się już nie zastanawiał przed Panią Tomszycką, i małą królową: kiedy weszła rodzina Bereckich a z nią dwóch chłopczyków bardzo bogato ubranych; jeden jak sultan Turecki, drugi jak cesarz Chiński! z temi to ja będę tańcować; bo oni przecie cokolwiek do mnie podobni; rzekła do siebie z uśmiechem Elżusia, i wyglądała niecierpliwie rychło ją ci zagraniczni mocarze zaproszą do mazurka; ale oni przestrzeżeni od kolegów o niegrzeczności Polskiej królowej ani się nawet przybliżyli do niej i wesoło tańczyli z Cygankami, Hiszpankami i Krakowiankami, a najjaśniejsza Pani z całym urokiem swojej korony, siedziała smutno przy Mamie. Miła Basia, o której już wam wspomniałam, lubo dopiero lat dziewięć liczyła, pełna była wdzięku, uprzejmości i słodyczy; zastępując w przyjmowaniu małych gości, młodsze jeszcze od siebie xiężnej córeczki, spo-

strzegła Elżbietkę na dawném swém miejscu prawie już usypiającą z nudów, przybiegła do niej, i za pozwoleniem Pani Tomszyckiej do grona dzieci ją z sobą zabrała; tam naszą próżną dziewczynkę istotne spotkało upokorzenie; bo Basia prosić chłopczyków musiała ażeby ją brali do tańca; nie bardzo zgrabny, ale wesóło spozierający na nią góral podał Elżusi rękę, a ta znudzona długiem oczekiwaniem okazalszego kawalera, musiała poprzestać na tak gminnym tańcerzu. — Cichy szmer oznacza nakoniec znakomitego gościa przybycie, muzyka ucichła; dzieci w piękne ustawione koło, sprawiają widok nader miły; Basia jak biały aniołek stała przy wejściu najpierwsza, zastępując domowe dzieci; Elżusia zręcznie się wsunęła obok Basi; bo sobie pochlebiała, że będąc najbogaciej ubraną; z nią, a nie z żadną inną, dostojny gość taniec Polski rozpocznie; wchodzi on wraz z xieżną

w grono ładnych dzieci, i okazuje miłym uśmiechem ile mu ten widok przyjemności sprawia. — Naszój Elżusi serduszko tak wczesnie już naganną namiętnością miotane, bije mocno pod zlocistą szatą, wspina się na paluszki, uśmiecha i bystro na przechodzącego gościa, pięknem swém czarném rzuca okiem; ale on z uprzejmością sobie właściwą, ogólnie wszystkie chwali kostiumy i ładne twarzyczki które im powabu dodają! każdej Matce coś pochlebnego o jej dzieciach nadmienia, ale Elżusia nie zastanawia go szczególnie. Ta panienka jest bogato ubrana, mówi do xieżnój spoglądając na nią, ale jakże jej gorąco w tak ciężkich szatach być musi. To wymówiwszy, bierze za rękę skromnie i nisko kłaniającą mu się Basię i z nią Polski taniec rozpoczyna:— Spadła w téj chwili jakby zasłona z oczu Elżbietki, coś podobnego do rozpacz (jeżeli rozpacz w tak młodym umyśle

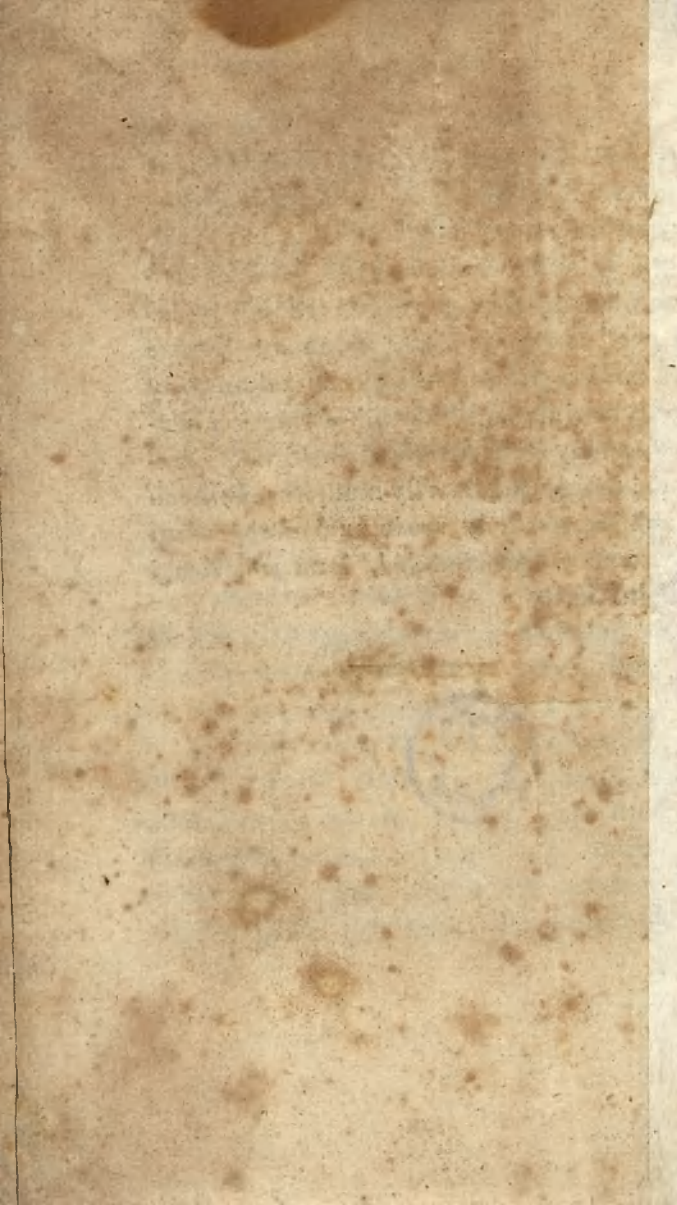
mieścić się może) ścisnęło gorzko jój serce.... Znikła w téj chwili dla niej cała okazałość balu! cały urok własnej i przydanej tylą ozdobami piękności..... Elżusia była w tym wieku, moje dzieci, w którym tać swoje uczucia, nie jest jeszcze ani potrzebą ani obowiązkiem; zapłonęła się mocno, i łyzy obfite ronić zaczęła. Pani Tomszycka macierzyńskim okiem śledząc wszystkie poruszenia swój córki, przybiegła zaraz do niej i pod pozorem gorąca wielkiego, wprowadziła ją do pobliskiego gabinetu, gdzie zdjawszy z niej wierzchnią suknię i część ozdób błyszczących, które jój do tańca przeszkadzać by mogły, zganila surowo jój żal niewczesny, kazała oczy wychuchać, wesołą twarz okazać i z każdym odtąd tańcować bez żadnej wymówki. — Bo Pani Tomszycka słusznie się obawiała śmieszności, którąby ten acz drobny, ale w towarzystwie skwapliwém do szyderskich spostrzeżeń, na-

der zabawny wypadek na obydwie mógł spowodzić. — Wróciły do salonu po krótkim oddaleniu się; Elżusia rozkazem Matki zniewolona, przyjęła rękę rybaka dziwacznie przebranego z siatką pełną złotych rybek na plecach, i stanęła z nim na samym końcu kolumny, której czoło zajmował dostoyny gość z Basią. Odtąd Elżusia nie przebierała w tańcerzach, skakała nawet wesoło; bo wiek dziecinny ma ten przymiot szczęśliwy, że zmartwienie jak rosa na szkle czystém, blaskiem słońca osuszona nieknie w jego umyśle, za pierwszym promieniem radości. Ale nauka, którą ona tego odebrała wieczora, skutkowała widocznie na próżny umysł Elżbietki; nauczycielka jęj ile razy się oddać chciała zbytniemu zarozumieniu o sobie, przypomniła jęj ową błyszczącą koronę, owe wytworne stroje, które tak mało jęj sprawiły przyjemności wtedy, kiedy prosty bukiet z białej róży, i skro-

inna postać Basi, chlubnym wyborem dostojnego gościa zaszczycone zostały. — Elżusia pokorna minką, spuszczone miładnemi oczkami, obiecywała szczerze że się poprawi, prosząc tylko żeby jój już nieprzypominano szczegółów tego dla niej tak niemilego wieczoru! i dotrzymała słowa, bo była odtąd jedną z najgrzeczniejszych i najlepiej uczących się panienek w Warszawie. — To dla was ta powieść Zosiu i Stasiu, rzekła Karolcia śmiejąc się, wy będziecie w kadrylach na jutrzejszym baliku, was będą chwalić i uwielbiać, a może i nie tak jak Elżusię; my zaś z Anielką, w białych sukienkach naszych, niebędziemy o próżność posądzone; a kto wie czy nas tam jaki zaszczyt nie spotka. — Powieść istotnie Babuniu stosowna do okoliczności; ale cóż, kiedy nad jój opowiadaniem, ani się cieszyć, ani płakać niema czego; tak osądził Staś ostatnią powieść pani Uszyckiej. — Babuniu dro-

ga! ja ci dziękuję, rzekła Zosia; bo ja już umiem ocenić tę wadę której ukaranie tak nam przyjemnie przedstawiłaś! ja w moim wieku już próżność rozumiem i dla tego za tak trafnie oddany jój obraz, ja może jedna dziękować ci zdolną jestem. — Tak się zakończyły powieści dobrej Babuni! — Życzę z serca, ażeby was drogie dziatki tak zabawić mogły jak bawiły małą Złotomskich rodzinę; a wtedy może znalazłaby wam jeszcze co powiedzieć, i na rok drugi Babunia.





oprawa
włosa

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000347418



I 320161